Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

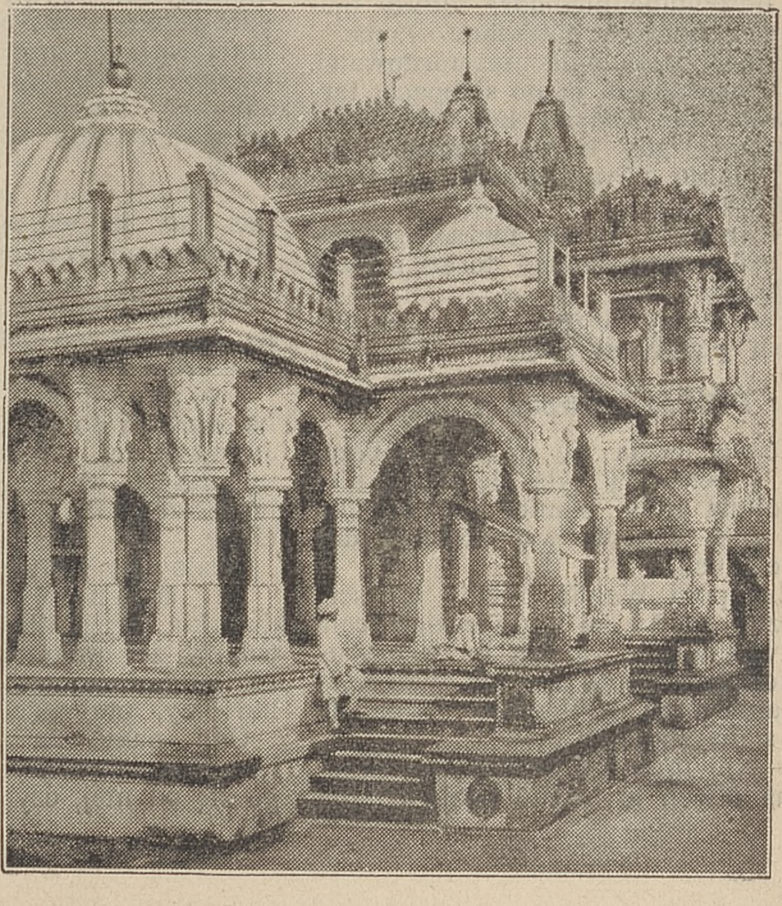
ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — Niedziela, dnia 5 września 1937 r. — Nr. 36

„Bramy przyszłości są szeroko otwarte"

(Stara modlitwa indyjska)

„Na Wschodzie i Zachodzie, Południu i Północy daj, by wszystkie żyjące istoty — wolne od wrogów i pszeszkód, przezwyciężyły smutek,a osiągnęły radość, idąc swobodnie każda swą własną drogą".



MARIA REUTT

4)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

— Wanda ma bardzo dobre serce i oboje przyjmą cię życzliwie jak swoją. Spieniężysz trochę kosztowności z tych, co masz, ubierzesz się i dopytasz o rodzinę.

Usłuchała. Borowa była zbyt blisko od granicy i nieraz w nocy za lada szelestem budziła się w panicznym strachu, że pościg Pietrowa dosięga ją i tutaj.

Opowiedziała staruszce całe swoje krótkie tragiczne dzieje i radziła się — co zrobić z klejnotami.

— Otrzymałaś je w prezencie — drogo za nie zapłaciłaś, są twoją bezsporną własnością. Obrócisz je dla siebie i dla swoich.

Napisała do Orchowa, nie będąc pewną, czy znajduje się on po tej, czy po tamtej stronie, Napisała oględnie, że żyje, że jest w Polsce i prosiła o odpowiedź do Warszawy pod adresem mieszkania państwa Borowieckich.

Pani Borowiecka odwiozła ją sama na kolej, Kasjer przyjął ruble, sprzedał bilet, wydał parę marek reszty.

* * *

W Warszawie u inżynierostwa Borowieckich przyjęto ją bardzo życzliwie. Pani Wanda, osobą pełna energji i zadowolenia z życia, obejrzała Dankę dokoła, jakby ją znała od dawna.

— Zabiorę panią najpierw do fryzjera, żeby pani włosy obciął i zaondulował, następnie zaprowadzę panią do mojej krawcowej. Kto ma tak śliczną figurkę, musi ją uwydatnić dobrze skrojoną suknią.

Pomogła jej sprzedać naszyjnik i za otrzymane pieniądze kupiły bieliznę i ubranie potrzebne Dance.

Pani Wanda była niezmordowana. — Oprowadzała ją po sklepach, targowała się, radziła lub odradzała. Wreszcie, gdy Danka ubrana była od stóp do głów, uspokoiła się i odpoczęła.

— Jurek — pytała męża — prawda, że panna Danka teraz inaczej wygląda?

Pan Jerzy Borowiecki z uśmiechem potakiwał żonie.

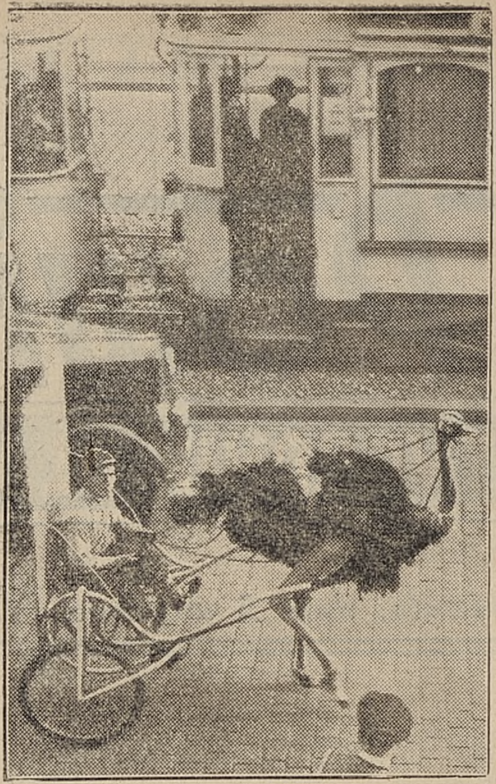
PIECZĘĆ PRZESZŁOŚCI.

Danka czuła się u nich dobrze, ale w sercu jątrzyła się ciągle niezagojona rana, pamięć przywodziła na myśl ohydne wspomnienia dni przeżytych.

Czy pani Wanda byłaby tak serdeczna, gdyby jej opowiedziała całą prawdę o sobie, a pan Jerzy, czy uśmiechałby się do niej tak życzliwie?

Sama pani Borowiecka, żegnając się z nią radziła:

— Nie mów im o tym, co przeszłaś. Niech to będzie twoją i moją



Niedawno na ulicach Hamburga wywołał sensację ten, niemniej oryginalny jak ekscentryczny, środek lokomocji, którym posługuje się jeden z tamt. artystów, wyjeżdżając na codzienny spacer.

tajemnicą. Ludzie są tacy skorzy do potępienia.

Nareszcie dostała długo wyczekiwany list z domu. Brat już nie żył. Umarła również i matka, zapędzona aż do Symbirska. Doniosła jej o tym jakaś pani, której udało się wrócić do kraju. Bratowa z dwojgiem dzieci borykała się z trudnościami materialnymi. Zapraszała ją serdecznie do Ochorowa, ale z całego listu przebijała troska i obawa, że po przyjęciu zaproszenia Danka może stać się ciężarem.

Odpisała, że przyjedzie, ale tylko na święta.

Za poradą pana Jerzego złożyła klejnoty do skrytki w banku. Sprzedała jeszcze tylko bransoletkę z brylancikami, aby móc zawieźć bratowej trochę pieniędzy, kupiła dzieciom zabawek, łakoci, cukierków i żegnana serdecznie wyjechała do Ochorowa.

— Niech pani śmiało wraca do nas, gdy jej się sprzykrzy tam — wołała pani Wanda, gdy pociąg ruszał.

W Zdołbunowie na stacji czekała na nią bratowa z furką zaprzężoną w zbiedzone konie.

Nie poznały się. Danka z podlotka wyrosła na dorodną pannę. Pani Jula z hożej, młodej mężatki, przemieniła się w przedwcześnie zestarzałą, zaniedbaną, stroskaną kobiecinkę.

Ucałowały się ze łzami w oczach. Ze skromnego i przed wojną dworku wyzierała obecnie nędza. Odarty, źle opatrzony, z oknami pozabijanymi deskami, prawie nieumeblowany, przygnębił Dankę.

Ona pamiętała go w powodzi kwiatów, opleciony wirem śmiejącego się od niej, czy to w letnim czy w jesiennym słońcu, bielą ścian czystością okien.

Pani Jula zauważyła przygnębienie Danki i tłumaczyła się pokornie, jakby to ona była winna nędzy obecnej:

— Nie było za co kupić inwentarza częściowo zarekwirowanego przez wojsko, częściowo rozgrabionego — ani ponaprawiać dachu i wstawić okien. Co było pieniędzy zaoszczędzonych, zjadła choroba męża....

Danka przytuliła się do niej pieszczotliwie.

— Juluś, przecież nikt ci z tego wyrzutów robić nie może — chyba tylko współczuć twemu położeniu, tak bardzo ciężkiemu. Cieszę się, że mogłam trochę pieniędzy przywieźć dla ulżenia ci.

Z głębi mieszkania na powitanie ich przybiegły dzieci. Chłopiec Janek, dziewczynka Lola. Chłopiec trzymał się dosyć dobrze i choć mizerny, wyglądał na zdrowego; na dziewczynce natomiast znać było złe odżywianie. Wątła, miała zapadnięte blade policzki, słabą budowę.

— Cóż robić, Danko, karmione postnymi ziemniakami i leśnymi jagodami, nie mogą wyglądać tak jak dzieci chowane na mleku, maśle i jajach...

* * *

Dzięki zapasom przywiezionym przez Dankę, mieli prawie że dostatnie święta. a dzieci nawet choinkę.

Maleństwa — bo Janek miał lat pięć, a Lola cztery — wpatrywały się jak urzeczone w oświetlone kolorowymi świeczkami drzewko, a zabawek bały się narazie dotykać, tak im się to wszystko wydało nierealnym.

Gdy matka i ciotka wytłumaczyła im, że te śliczności są dla nich do zabawy, nie chciały się rozstać z nimi.

— Mamusiu, konik będzie ze mną spał, a lalka ze mną — prosiły, kładąc się do łóżeczek.

Siedząc przy karbidowej lampce, rzucającej nikłe światełko na twarze obu kobiet, rozmawiały przyciszonym głosem. Nie mogły jeszcze zrzucić z siebie lęku, narzuconego im przez terror bolszewicki.

— Żeby tylko kto nie słyszał, nie podpatrzył, nie wyczytał w myślach. bo... Od tego „bo" cierpła skóra i przed oczami majaczyła czerezwyczajka, lub rozbestwiony tłum.

I lęk ten i ta nieufność odbiły się na długo na nerwach ludzi. Ci, którzy jakiś czas przebywali w państwie „równości i wolności" lub znajdowali się pod ich okupacją — długo, bardzo długo oglądali się lękliwie wokoło siebie, chodzili cicho, skradając się, mówili szeptem, patrzyli nieufnie i mieli wrażenie, że cień śmierci otacza ich stale.

Więc pomimo, że nie groził im już terror, nikt ich nie szpiegował, mówiły szeptem, usta przy ustach.

— Danko — pytała pani Jula — opowiedz mi, co się z tobą działo przez cały ten czas?... — i dobre

jej oczy patrzyły życzliwie w twarz dziewczyny.

A Danka kłamała. Kłamała bez spuszczenia oczu, bez rumieńca na twarzy — tylko serce biło jej szybko i boleśnie, a otwarta rana ponurych wspomnień krwawiła obficie.

— Przypędzili nas do Orła. Tam dostałam się do biura. Robiłam tłumaczenia, przepisywałam akta, a w wolnych chwilach dawałam lekcje muzyki. Potem z całym biurem wyjechałam do Mińska i stamtąd udało mi się przedostać przez granicę z zaoszczędzonymi pieniędzmi.

— Czy cię kto przeprowadził przez granicę? — padło w ciszę pytanie.

Chwila wahania, jakby namyślanie się — czy i jak tę prawdę powiedzieć wreszcie:

— Szofer komisarza, Polak, uciekł z samochodem do Polski i mnie zabrał. Przejechaliśmy granicę koło Rakowa... Jazda była szalona, poprzez drogi i bezdroża, polami i lasem — sama doprawdy nie wiedziałam, którędy i jak znaleźliśmy się poza obrębem granic Bolszewii...

I znów pytanie:

— A gdzie ten szofer obecnie przebywa?

— Gdybym ja wiedziała! — westchnienie wyrwało się jękiem z piersi dziewczyny.

— ??? — milczące pytanie wołało o zwierzenia.

— Nie wiem. Odwiózł mnie do dworu pani Borowieckiej i odjechał w świat. Nie cierpiałam go, zdawało mi się, że szpieguje mnie, że śledzi każdy mój krok — aż tu nagle, pewnego dnia, a raczej wieczora, gdy wiózł mnie samochodem z zabawy sowieckiej, urządzonej na uczczenie podpisania zawieszenia broni na której musiałam być, widzę, że wiezie mnie dokądś poza miasto i dowiedziałam się od niego w końcu tej dziwnej podróży, podczas której uciekłam z niewoli nic o tym nie wiedząc, że jestem już w Polsce.

* * *

Przebyła parę tygodni w Ochorowie, widziała dzień po dniu szare, monotonne zmaganie się z życiem, przekonała się, że w niczem bratowej pomóc nie może, a tylko przeszkadza.

Postanowiła wrócić do Warszawy i rozejrzeć się za pracą. Mówiła nieźle po francusku, grała biegle na fortepianie — możeby dostała gdzieś posadę nauczycielki domowej.

Napisała do pani Wandy.

Ta odpisała jej bardzo serdecznie, zaprosiła do siebie, pochwaliła zamiar.

— Pomogę pani. Mam znajomą właścicielkę biura nauczycielskiego. Ale będzie musiała pani jeszcze jakiś czas popracować nad sobą w Warszawie.

Usłuchała rozsądnej i życzliwej rady.

* * *

Zaraz po przyjeździe sprzedała butony z brylancikami. Za osiągniętą



sumę wynajęła pokój w pensionacie, wzięła lekcje literatury i historii.

Pani Wanda namówiła ją na lekcje tańca i śpiewu.

— Nie zaszkodzi pani, nauczycielka musi wszystko umieć po trochu.

Pracowała wytrwale. Rano ćwiczyła się, przygotowywała wypracowania, popołudniu chodziła na lekcje. Regularne zajęcia, praca, życzliwość pani Wandy — zacierały w niej powoli straszne wspomnienia lat minionych.

O Pietrowie i jego zwierzęcej miłości myślała rzadziej, choć z jednakowym wstrętem. Zraził ją do mężczyzn, obrzydził miłość i jej przejawy i gdyby nie dobroć dziwnego i tajemniczego szofera, znienawidziłaby cały ród męski, nabrałaby do niego nieufności i uprzedzenia. Lecz o tym szoferze-wybawcy nie było żadnej wieści, żadnej nawet pogłoski, żadnego śladu. —

— Kim on jest? — pytała się siebie. — Co za jeden? Dlaczego on to zrobił? Dlaczego odszedł, nie wytłumaczywszy jej swego zagadkowego postępowania?

* * *

Wiosna szła wolno, ale szła. Czuć ją było w powietrzu, dostrzec można było na twarzach ludzi i w zieleni parków.

Danka sprzedała klamrę i broszkę i posłała bratowej na kupno narzędzi rolniczych i zboża na siew, dla Loli lalkę, a dla Janka szabelkę i piłkę.

Otrzymała list dziękczynny, zamazany od łez rozczulenia.

„Pieniądze te spadły jak z nieba. Będzie można za nie Ochorów postawić na nogi, a może i dom poprawić".

W czasie świąt Wielkiej Nocy wpadła do Ochorowa. Od stacji przyjechała najętą żydowską furmanką.

Przywitały ją rozradowane życzliwe twarze i różowe buziaki dzieci.

— Ciociu, — wołała Lola — i kiełbasa jest i jajka i bułka...

Biedactwo, „wojenne dzieci głodu" cieszyły się z obfitszego, smaczniejszego jedzenia, jako z rzeczy niezwykłej.

Na pierwszy dzień, „na jajko" przyjechał sąsiad Ochorowa, dzierżawca Pracuk, w średnim wieku, dosyć przystojny mężczyzna. Pani Jula przyjęła go rumieńcem i radosnym błyskiem niebieskich oczu.

Ach, więc tu się kroi jakaś nowa para — domyśliła się Danka.

Po jego odjeździe, ucałowała bratową serdecznie.

— Nie bierz mi za złe — tłumaczyła się nieśmiało ta ostatnia — ale tak ciężko samej borykać się z gospodarstwem.

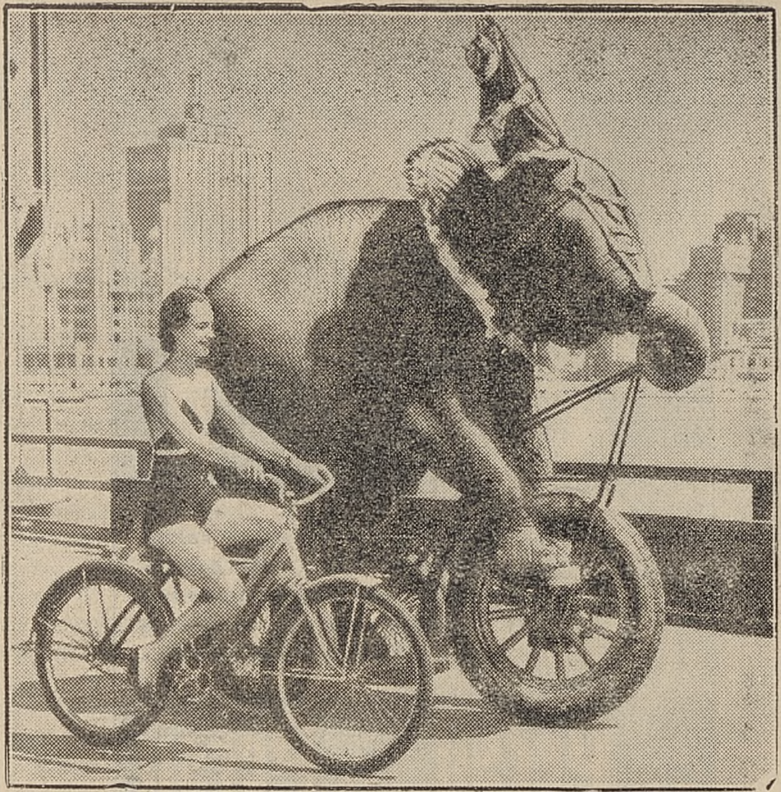
Danka się roześmiała.

— Brać ci za złe — cóż znowu! Cieszę się, że i ty i dzieci będziecie miały opiekuna. Wygląda na porządnego człowieka.

Pani Jula się ożywiła.

— Porządnego?! To mało, to zacność chodząca... Gdyby nie on, przepadlibyśmy zupełnie. Wacek tak długo chorował, nie mógł zajmować się niczym. Dzieci maleńkie. Wojna, ciągłe przemarsze oddziałów, huk armat, karabinów, bomb — a potem te bandy rozwydrzonych żołnierzy Kiereńskiego i bolszewickie. Niechętni, podburzani chłopi... On nas otaczał opieką, dawał pomoc, pomógł pogrzebać Wacka, bronił przed napadami...

Uścisnęły się jeszcze raz.



Oryginalnie reklamuje się cyrk w Ameryce — mianowicie świetnie wytresowany słoń jedzie na rowerze, eskortowany przez swoją piękną nauczycielkę.

Zostawszy sama, Danka w ciszy nocnej rozżaliła się nad sobą. Uczucie sieroctwa ogarnęło ją ze wzmożoną siłą. — Znów będę sama i zawsze sama, bo nie dla mnie już miłość, małżeństwo, dzieci, bo kto zechciałby ożenić się z kochanką bolszewickiego komisarza...

I długo z jej oczu płynęły łzy i wsiąkały w poduszkę.

* * *

W Warszawie pani Wanda gderała na nią:

— Panno Danko, proszę zrobić weselszą minę, proszę się uśmiechnąć. Odstrasza pani smutnymi oczami i tym poważnym wyrazem twarzy młodych ludzi — boją się pani.

— Niech się boją — nie lubię młodych ludzi...

Pani Wanda załamywała nad nią ręce.

— Panno Danko, co pani wygaduje! W pani wieku, z pani urodą — nie lubić chłopców?...

— Wiek o niczym nie stanowi! — padła odpowiedź Danki i na twarzy jej zjawia się ostry, twardy wyraz, a oczy ciemnieją...

* * *

W końcu czerwca pani Wanda oznajmiła jej z triumfem:

— Mam dla pani posadę nauczycielki do dwóch dziewczynek na wieś, pod Częstochową. Chcą, by pani już tam była na pierwszego lipca... Dom duży, dostatni, pani bardzo sympatyczna, pan nieromansowy, dziewczynki miłe...

Sprzedała pierścionek ze szmaragdem, dokupiła kilka letnich skromnych sukienek, książek, trochę pieniędzy posłała bratowej i ruszyła wczesnym rankiem w świat, żegnając z żalem państwa Borowieckich i ich chłopców, którzy wstali o świcie, by ją odprowadzić.

— Niech pani wróci do nas — wołał złotowłosy Staś, machając czapeczką.

— Tak, niech pani wróci — powtarzał jak echo Kazio, młodsza latorośl Borowieckich.

— Kiedy i was tu nie będzie, bo jedziecie do babuni — odkrzyknęła im, wychylając się z wagonu, bo pociąg już ruszył.

— Ale na zimę wrócimy — zapewniali obaj.

Jeszcze kilka uśmiechów i machań rękami i pociąg zniknął poza budynkami stacyjnymi.

* * *

Na dworcu w N. czekała na nią bryczka zaprzężona parą koni, w której siedziały dwie dziewczynki bliźniaczki, lat dwunastu, różniące się od siebie tylko kolorem włosów — ciemno i jasno blond. Były bardzo ciekawe poznać nową nauczycielkę.

— Mnie na imię Józia — oznajmiła blondynka — a jej Miśka — wskazała na siostrę.

Niezażenowane, choć trochę onieśmielone, przyglądały się jej z otwartą ciekawością.

Józia usadowiła się obok niej, Miśka na koźle.

— To koniarka — objaśniła Józia — ona cały dzień siedziałaby w stajni. Ja wolę psy i mam ślicznego wilka Myzia, dostałam go od tatusia na imieniny.

— A ja kucyka Perełkę — wtrąciła Miśka.

— Pani za ładna dla nas — zadecydowała nagle Józia. Ciocia Ludka będzie zła na mamę o to, bo ona nie lubi, jak jest w domu ktoś od niej ładniejszy, a pani jest tysiąc razy śliczniejsza... Ciocia Ludka jest przyrodnią siostrą mamy i mieszka w Warszawie, a tylko w lecie do nas przyjeżdża.

Danka nie wiedziała — czy obrócić w żart tę szczerość dziewczynki, czy też ją strofować, a mała, zapominając o poprzednim odezwaniu się, pokazywała jej okolicę.

Wózek po gładkiej szosie toczył się szybko i mijali coraz to inny dwór lub wieś.

— O, widzi pani — wskazywały dziewczynki na wyścigi jedna przez drugą półpiętrowy murowany dwór — to stryja Jędrusia. On jest teraz w ambasadzie w Budapeszcie. Przyjedzie niedługo... Mamusia chciałaby, żeby się ożenił z ciotką Ludką. A ten tam, duży, piętrowy, nad stawem, to pałac hrabiego Bugrowcewa. On sam niedawno wrócił z Rosji. Nie był jeszcze u nas. Ma być bardzo piękny i bogaty, tylko szkoda, że Moskal...

Widocznem było, iż powtarzała zdania starszych, gdyż miała przy tym skupiony, poważny wyraz twarzy.

— A ten — wskazała mały dworek pod lasem — to pani Gopdzińskiej folwarczek, ma córeczkę w naszym wieku, ale my tam rzadko bywamy.

— O, Ciemierów!

Przed nimi zarysował się cienisty ogród, otoczony wysokimi sztachetami i duży, murowany, parterowy dom o sześciu słupach gankowych.

Na ganku siedziało parę osób, jakby oczekując na nich. Dankę ogarnęło onieśmielenie, w dodatku omało nie upadła na ziemię, zaczepiwszy obcasem o stopień przy wysiadaniu. Dziewczynki wyskoczyły z bryczki lekko i zwinnie i zasypały obecnych gradem słów, co dało Dance możność przyjścia trochę do siebie i opanowania zawstydzenia.

Pani domu, przystojna, wysoka, tęga blondyna, wyciągnęła do niej rękę.

— Mam nadzieję, że dobrą miała pani drogę — przemówiła banalnym, oklepanym frazesem, ale poparła go miłym, uprzejmym uśmiechem.

Danka bąknęła:

— Dziękuję, bardzo dobrą.

— A nasze kózki, czy nie zamęczyły pani w drodze? — wtrącił pan domu, ściskając jej dłoń.

Był to wysoki, gładko ogolony, tęgi mężczyzna, o wypukłych niebieskich oczach.

— Uparły się jechać po panią i póty prosiły, aż ustępiliśmy z żoną.

— Nie, cóż znowu — zaprzeczała gorąco — takie miłe dziewczątka i takie rozwinięte...

— Za bardzo — potwierdzili oboje, ale widać było, że pochwała nauczycielki zrobiła im przyjemność.

— Pani pozwoli, że zapoznam ją z resztą towarzystwa — odwróciła się pani Ciemierzewska do stojącej na ganku w milczeniu pary i wskazując na młodą, drobną, strojną brunetkę — siostra moja — a następnie na studenta politechniki o suchotniczym wyglądzie: — pan Hubertowski.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

WOJCIECH HOLM

46)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Włoszka spała, ale znać po niej jeszcze było, że płakała.

Hortensja pocałowała ją w czoło i poszła.

Nazajutrz rano zastała pokój pusty.

Na stole leżała kartka na której koszlawymi literami i nieortograficznie wypisane było po włosku:

Vittorina idzie; ponura jej twarz nie będzie rzucać cienia na twą drogę, która niech będzie słoneczna i zasłana różami. Vittorina będzie się modlić za ciebie, a niech Najświętsza Panna i wszyscy Święci wysłuchają modlitwy grzesznicy i błogosławią Cię tysiącznymi łaskami.

O Leonie nie wspomniała.

Widocznie usiłowała już zapomnieć o nim.

Hortensja była bardzo wzruszona. Obawiała się o los Vittoriny, a jednak w duszy musiała przyznać, że ta dziewczyna z ludu postąpiła sobie taktownie i szlachetnie.

I ona od tej pory zawsze modliła się za Włoszkę i prosiła Boga, żeby ją naprowadził na drogę dobrą i dał jej szczęście!

ROZDZIAŁ CLXXVIII.

Uczta u Anastazji

Anastazja była bardzo zirytowana. Dziś miała się u niej odbyć uczta.

Całe mieszkanie kąpało się w morzu świateł i kwiatów. W kuchni umyślna kucharka gospodarowała z pomocnicą, a posługacz w wytartym fraku nakrywał do stołu.

Gospodyni zabrała się do toalety.

W dziewiczym buduarze, po odejściu fryzjerki, przyglądała się fryzurze za pomocą dwu zwierciadeł.

Ruda Marynia, perła pokojówek, pomaga się jej ubierać i naciąga jej małe, za małe nawet pantofelki i obie przypatrują się z zachwytem małej nóżce.

Anastazja obuta robi kilka kroków w za ciasnym obuwiu zaciska zęby z bólu, tak ją to gniecie i oświadcza, że bardzo są wygodne.

Potem Marynia naciąga swej pani zręcznie żółtą jedwabną suknię.

Żółta była cera, żółte włosy i żółtawe oczy Anastazji. Możemy sobie wyobrazić, jak uroczo wobec tego wyglądała w żółtej sukni.

Ubrała na kościstą swą szyję kolię, a na rękę bransoletkę.

Podziwiała siebie samą, ale bardziej jeszcze podziwiała ją Marynia.

Nie mogła się nadziwić:

— Ależ panienka ładna! — wołała składając ręce — jak anioł. Nie widziałam, jak żyję, nikogo tak ładnego.

Szczery jej podziw tak wzruszył Anastazję, że podarowała jej małą złotą broszkę.

— Masz na pamiątkę dzisiejszego dnia. Wiedz, że to bardzo cenna robota i dobre złoto!

Marynia uśmiechnęła się dziwnie.

Musiała to być radość z powodu otrzymania prezentu, a Marynia widocznie miała usposobienie wdzięczne.

Broszka była tylko pozłacana, ale Marynia dziękowała tak serdecznie, że Anastazja sama zbudowana była swym dobrym uczynkiem.



Dzieci króla belgijskiego Leopolda wyjechały na czas wakacyj do swoich dostojnych dziadków do Szwecji, u których — wolno młodym królewiętom osobiście zapalać ogień w piecu.

Tymczasem Anastazja dość się sobie przypatrywała w lustrze, ujęła wachlarz kościany i posunęła się trochę niezgrabnie, bo w ciasnych pantofelkach, do salonu.

Niebawem zjawili się pierwsi goście, najlepsi przyjaciele Anastazji, państwo Steingröberowie.

On ucałował ją głośno w rękawiczkę, a ona uścisnęła ją i pocałunkami starła wszystek puder z lewego jej policzka.

Potem podziwiali wszys ko począwszy od światła i urządzenia, a skończywszy naturalnie na gospodyni.

Pani Steingröber mówiła, że wygląda na 35 lat, choć złośliwi ludzie liczą ją na 45. Ale jak długo żyje, nie widziała jeszcze tak pięknej osoby.

Wtem otworzyły się znowu drzwi salonu i weszła pani Bullmann.

Była to także najlepsza przyjaciółka Anastazji.

Jej to Anastazja trzymała do chrztu córeczkę.

Pani Bullmann opowiedziała naturalnie natychmiast, że córeczka jej co dzień staje się podobniejszą do swej matki chrzestnej i jest co dzień ładniejsza.

Następnie przyszła rodzina Szinzel, składająca się z ojca, matki i dwu dorosłych synów.

Obaj ci młodzi panowie byli jej wielbicielami.

Jeden, imieniem Eberhardt, przyniósł jej bukiet tego koloru co suknia i opowiadał z jakimi trudami go szukał i jak chętnie te trudy ponosił.

Drugi, Feliks, chciał zrobić to samo, ale że go brat wyprzedził, obawiał się przeto, by nie obarczać panną Anastazję drugim bukietem.

Anastazja nie posiadała się z radości, słysząc te pochlebstwa, które powtarzał każdy nowo przybyły gość, a które ona bez wyjątku przyjmowała z wielką przyjemnością.

Gdy wreszcie salon napełnił się śmiejącymi się wesoło gośćmi, wniósł lokaj herbatę i ciasta, do których goście zabrali się gorliwie.

Panowie w duchu klęli na modę, która każe pić gorącą lurę, i umożliwiali sobie wypicie tej lury, dolewając do niej araku.

Do kolacji było jeszcze wiele czasu i Anastazja zaproponowała muzykę.

Naturalnie proszono ją zaraz, żeby zaśpiewała coś swym cudnym głosem, przy czym pan Eberhardt Linzel przewyższał wszystkich.

Był on subiektem sklepowym i czyhał na bogaty ożenek, który by mu umożliwił otworzenie własnego sklepu.

Teraz upadł przed nią na kolana i prosił usilnie, żeby go swym boskim głosikiem wzniosła na chwilę do nieba.

— Cóż mam śpiewać? — zapytała z kokieteryjną miną.

— O pani — zawołał z wzruszeniem młodzieniec — cokolwiek zaśpiewasz, będzie mi wiecznie brzmiało w uszach.

Patrzył przy tym tak wymownie na Anastazję, że ona, aby mu odpowiedzieć godnie, musiała przybrać minę w jej mniemaniu bardzo słodką, a w rzeczywistości podobną do miny kota, który patrzy w tarczę słoneczną.

Nie mogła się też oprzeć prośbom jego i dała się poprowadzić do fortepianu. On obracał jej nuty, a ona śpiewała cieńkim a silnym głosikiem, który każdemu, z wyjątkiem jej gości, byłby się musiał wydać bardzo niemiłym.

Oni jednak nie uważali tego i gdy skończyła, nagrodzili ją hucznymi oklaskami.

Byliby chętnie piosenki wysłuchali, ale nie mogli żądać od niej takiej ofiary.

Siadł więc do fortepianu Linzel i zagrał walca, ale fałszywie, przy czym szpecił jeszcze ten koncert, przyśpiewując od czasu do czasu.

Potem jakaś młoda panna odśpiewała piosenkę, głosem, jeżeli nie wyrobionym, to jednak przynajmniej dźwięcznym i pełnym.

Mimo to jednak nie nagrodzono ją tak hucznymi oklaskami, jak gospodynię, a pan Linzel szepnął nawet Anastazji:

— Nie pojmuję nawet, jak ona miała odwagę chcieć się produkować po pani. Skompromitowała się tylko.

Potem nastała kłopotliwa pauza.

Na szczęście zjawiła się Marynia i szepnęła pani, że kolacja gotowa.

Anastazja poprosiła gości do stołu.

Siedmiu panów rzuciło się ku niej, ofiarując jej ramię, ona zaś skromnie pozostawiła to im do rozstrzygnięcia.

Rozpoczęła się sprzeczka, która na szczęście długo nie trwała, gdyż zalatująca woń potraw, nęciła wszystkich wielbicieli zbyt silnie, aby długo mogli zwlekać.

W jadalni ze szczerym zapałem zabrano się do zmiatania doskonałych przysmaków i przerywano tę czynność tylko zachwalaniem gospodyni.

Na wstępie było gęsie salami i majonez z raków morskich. Potem łosoś, młode jarzyny, szparagi, groszek, soczewica, dziczyzna i bażanty. Na deser orzechy i lody czekoladowe, torty i konfitury.

Za każdym daniem zmieniano wina i to na coraz lepsze.

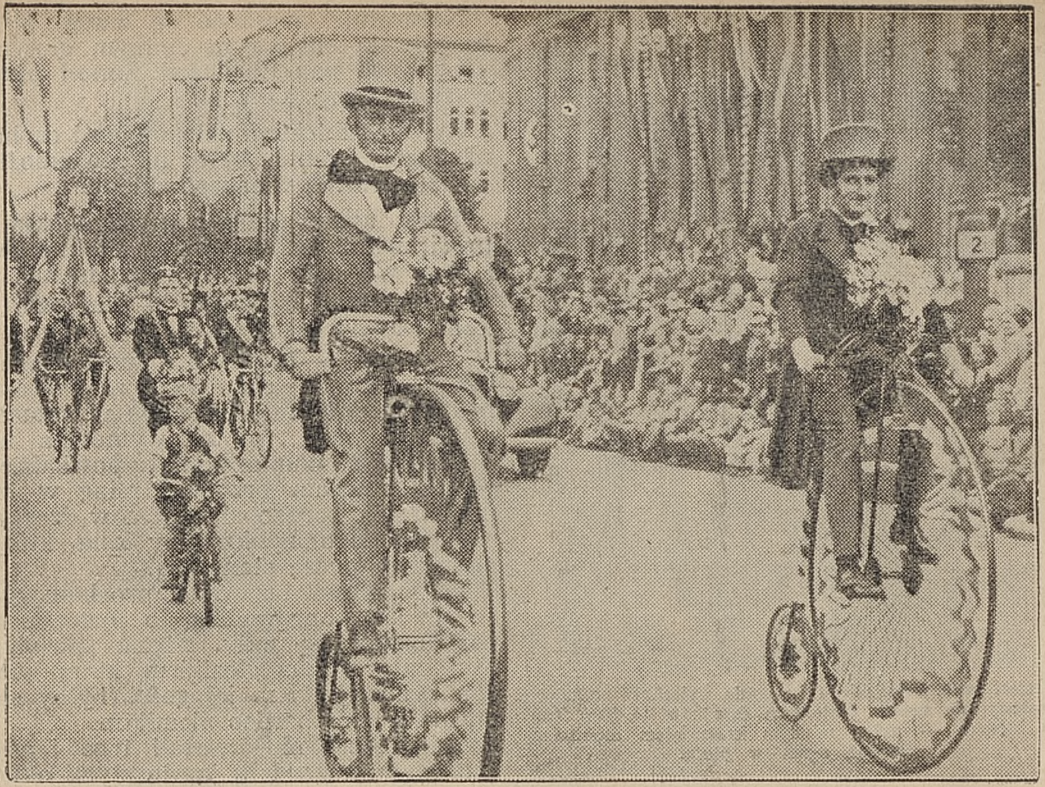
Pan Steingröber zajadał z największym zapałem i smakoszostwem. Zaledwie jednak skończył, uderzył trzy razy nożem w szklankę, a przy stole ucichło się.

Powstał trochę ociężale i rozpoczął pełną patosu przemowę:

— Szanowni panowie i panie. Z pewnością będę wyrazem wszystkich nas tu obecnych — z pewnością — to jest...

— Kończ — szepnęła mu żona — boś za dużo wypił.

— Z pewnością — mówił dalej pan Steingröber, nie rezygnując z laurów mowy — będziecie mi państwo — wtórować, jeśli wzniosę ten kielich na zdro-



Z okazji 700-lecia Berlina przeciągnęło przez ulice stolicy wielkie korso kwiatowe. Na zdjęciu grupa kolarzy na udekorowanych kwiatami, staroświeckich rowerach.

wie naszej, nieocenionej gospodyni, perły kobiecości, naszej pięknej panny Anastazji Rother. — Niech żyje!

— Wiwat! Niech żyje! — zawtórowali goście zgodnym chórem.

Wszyscy wstali z miejsc, by się z Anastazją trącić kielichem, a ona — perła kobiet — przyjęła ten hołd, jak coś, co się jej słusznie należy.

Wszyscy byli w szampańskich humorach, jeden tylko pan Steingröber martwił się.

Zapomniał bowiem umieścić w mowie swojej jeden frazes i teraz myślał o tym z przykrością.

Gdy mu pani Zullmann winszowała, że mowa jego była bardzo ładna, odpowiedział:

— Ona byłaby jeszcze ładniejsza, tylko ja coś jeszcze chciałem powiedzieć, zapomniałem tylko co i nie mogę sobie przypomnieć.

— Mniejsza z tym — pocieszała go dama.

Pan Steingröber pocieszał się również sam szampanem, w którym topił zmartwienie.

Nareszcie towarzystwo wróciło do salonu.

Gdy sobie wszyscy dziękowali wzajemnie za towarzystwo, skorzystał z zamieszania pan Feliks Linzel i szepnął bratu:

— No, jakże tam, pójdzie?

— Zdaje się — odpowiedział Eberhard! — trudna rada! Ciężko, bo ciężko, ale muszę! Tylko nie wiem, czy się zdobędę na to. Pomyśl sobie, co to za maszkara, a przy tym mogłaby być moją matką. Ja młody i przystojny człowiek, a ona taka stara sowa!

— Nie musisz przecie — odpowiedział braciszek — pytam się ciebie tylko, czy się dziś oświadczysz, czy nie. Jeżeli nie ty, to ja.

— Nie, nie! — rzekł zatrwożony Eberhardt — ja jej powiem. Jestem starszy od ciebie i ty musisz mi odstąpić pierwszeństwo.

— Dobrze! — odpowiedział Feliks — próbuj ty pierwszy. Ale pamiętaj o tym, że ten, który się z nią ożeni, musi drugiemu zapłacić pięć tysięcy.

— Boże mój — irytował się starszy — a skąd my wiemy, czy to nie połowa jej całego majątku?!

— To niemożliwe — uspokoił go Feliks — rachując z tego, jak ona żyje, musi mieć przynajmniej sto tysięcy.

— No, spróbuję — rzekł na to Eberhardt ze smutkiem.

— Śmiało — zachęcał go brat — ona się nażłopała szampana i teraz będzie w stosownym usposobieniu.

Zrezygnowany Eberhardt pomaszerował ku kanapie, gdzie jego ideał, panna Anastazja, siedziała między jego matką a ojcem.

Rodzice ułatwiali mu to, nie odstępując jej przez cały wieczór.

Ledwie siadł przy nich, przypomniała sobie pani Linzel, że jeszcze ani słówka nie mówiła dziś z panią Köhler i skinąwszy uprzejmie główką na przeproszenie, znikła.

Eberhardt usiadł na jej miejscu na kanapie, pan Linzel senior znikł bez śladu i pole było wolne.

Nikt nie zwracał uwagi na kanapę.

— Panno Anastazjo — rozpoczął Eberhardt z namiętnym drżeniem w głosie — jakże tęskniłem za tą chwilą w której mogę dać wyraz uczuciom moim. Nareszcie mogę przed panią otworzyć serce. O, Anastazjo! kocham cię i ubóstwiam! Czy mogłabyś się zdecydować zostać moją najdroższą żoną?

Usiłował ją ująć za rękę.

Anastazja przygotowaną była na to, ale udawała, że została niespodzianie zaskoczona i zaambarasowana.

— Pan mnie przestrasza — odpowiedziała ze spuszczonymi oczyma — pańska zaszczytna propozycja, tak niespodziana...

— I pani nie odgadłaś niemej mowy mojej miłości? — wołał Eberhardt.

— Cenię pana i szanuję — mówiła panna Anastazja — ale nie znam jeszcze dobrze rodzaju moich uczuć dla pana. Prosiłabym więc pana o czas do namysłu!

— Okrutna! — jęknął Eberhardt, chcesz mnie dłużej wystawiać na męki niepewności?

— To konieczne! dla mnie i dla pana — przekonywała Anastazja — to ważny krok w życiu, przed którym się trzeba zastanowić!

— Pani mnie ściąga z nieba na ziemię — skarżył się kochanek — rozpacz mnie ogarnia.

Anastazja była zdecydowana nieprzyjąć Eberhardta, bo przejrzała jego apetyt na posag, ale nie chciała się tak nagle pozbyć przyjemnego konkurenta.

— Niech pan mi tylko pozwoli się namyśleć prosiła — nadziei zaś panu nie odbieram, nie!

Eberhardt chciał ją ogniście pocałować w rączki, ale ona z godnością zabroniła mu tego.

— Proszę pana, patrzą na nas — rzekła trwożnie — najlepiej niech mnie pan zostawi samą, bo moja dobra sława mogłaby ucierpieć.

Spuściła oczy i usiłowała się zarumienić.

Eberhardt rzucił jej ogniste spojrzenie, ale usłuchał.

— Życzenie pani jest dla mnie rozkazem — rzekł — ale błagam panią nie pozostawiaj mnie długo w niepewności.

To rzekłszy poszedł, a Anastazja wstała i z trudem, w ciasnych trzewiczkach ledwie trzymając się na nogach, przeszła do najbliższej grupy gości.

Gdy się goście rozeszli obsypawszy ją pocałunkami w kościste rączki i pochlebstwami i komplementami w staropanieńskie serce, Eberhardt, ostatni z wychodzących, szepnął jej coś do prawego ucha.

Na nieszczęście Anastazja na prawe ucho nie słyszała.

Została wreszcie samą i była z siebie bardzo zadowolona. Najbardziej zaś cieszyły ją — panienkę trzydziestodziewięcioletnią — oświadczyny. Taka była uradowana, iż przebaczyła nawet gościom to, że wypili bardzo wiele wina.

Wyprawiła najętą służbę i kazała się przebrać.

Znowu miała sposobność zachwycać się swoją perłą pokojówek. Rozbierała ją zręcznie, przy stole usługiwała zgrabnie a wyglądała przyzwoicie i nie brzydko.

Teraz opowiadała, że przychwyciła lokaja, gdy chciał ukraść flaszkę wina i skarżyła, że kucharka zanadto szafowała masłem.

Potem krytykowała toalety gości i oświadczyła, że żadna z obecnych nie może dorównać jej pani.

Wreszcie pokornie życzyła dobrej nocy, i cofnęła się, gdyż toaleta nocna Anastazji była skończona.

Anastazja nim zasnęła, poważnie się namyślała, czyby tej dobrej dziewczynie nie podwyższyć pensji, ale pomyślała sobie, że to byłoby z jej strony rozrzutnością.

Wnet Morfeusz wziął ją w swoje objęcia i Anastazja zasnęła snem sprawiedliwych.

ROZDZIAŁ CLXXIX

Po uczcie.

Nie spała długo, gdy ktoś ją zbudził, trzęsąc nią brutalnie.

Przestraszona otworzyła oczy.

Przed nią stała Marynia i trzymała ja silnie za ramiona.

— Co tam, Maryniu? — zapytała zdziwiona i gniewna Anastazja.

— Cicho bądź, stara małpo! — odpowiedziała perła pokojówek. — Chodź tu Józiu, zatkaj jej pysk!

W następnej chwili, chłop jak dąb stanął przy łóżku dziewiczym Anasta-

cji i szykował się, by jej zakneblować usta.

Nieszczęśliwa niewiasta zrozumiała teraz sytuację.

Chciano ją obrabować, a kto wie, czy i nie zamordować.

Teraz duży knebel, gdy jej wsadzą do ust choćby na kilka minut tylko, udusi ją niezawodnie.

W śmiertelnej trwodze zapewniała, że ani nie piśnie, żeby jej tylko nie ruszali.

— Puść ją zresztą — rzekła na to Marynia — ona nam będzie potrzebna, bo nie wiem gdzie co leży. Ale związać ją trzeba koniecznie.

Józef wyjął sznur z kieszeni, Marynia zdarła kołdrę z łóżka i za chwilę Anastazja związana nie mogła się ruszyć.

Z trwogi i zimna, bo była tylko w cienkiej nocnej koszuli, trzęsła się Anastazja i patrzyła, co robią jej napastnicy.

Marynia wzięła naprzód kolię i bransoletkę, w której Anastazja paradowała na uczcie, potem duży neseser z klejnotami i wszystko sypała do dużego worka. Otworzyła zręcznie kasę stojącą obok łóżka i wyjęła naprzód kasetkę z gotówką.

Mało rozczarowała się, wypróżniając ją, ale pocieszyła się papierami wartościowymi.

Nagle obróciła się z gniewem.

— Cóż! — zawołała — to jest wszystko? Marnych dwadzieścia tysięcy? Powiedz gdzie reszta, bo zginiesz!

Z ostrym nożem stanęła nad nią.

— Na miłość Boską, błagam cię! Zlituj się, jęczała Anastazja — przysięgam na wszystkie świętości, że nie mam nic więcej.

Mówiła prawdę.

Nieprzywykła mieć tak dużo pieniędzy, więc sądziła, że majątek jej jest niewyczerpany i wciąż żyła z kapitału, zamiast zadowolić się procentem. Tym sposobem nieprawnie zdobyte pieniądze topniały szybko.

— Psiakrew! — zawołała perła pokojówek, uderzając ją w bok pięścią — to na to ja przez cztery tygodnie męczyłam się i pozwalałam się maltretować i kopać.

— Czy już, — zapytał Józef.

— Skończona parada! — odpowiedziała najlepsza z pokojówek, jeszcze tylko srebro stołowe.

— Jest — odparł godny kompan — to już chyba możemy iść.

Idź i poczekaj na mnie — brzmiała odpowiedź — ja tu mam jeszcze z nią mały rachunek do załatwienia.

To rzekłszy wzięła grubą laskę, którą przyniósł Józef i wróciła do łóżka.

— Dała mi pani dziś taki ładny prezent — rzekła, naśladując doskonale jej głos — oto jest.

Rzucił broszkę na ziemię.

— Teraz pani ode mnie musi także dostać pamiątkę — mówiła dalej i zaczęła Anastazja niemiłosiernie okładać kijem.

Anastazja jęczała tylko, aż Marynia ustała bić na chwilę.

Ale jeszcze nie dość jej było zemsty.

Odsapnęła tylko i zaczęła chwalebne swoje dzieło na nowo.

— Tak — rzekła wreszcie, zgrzytając zębami — to za ogony śledzia, którymi pani mnie zawsze częstowała — a to za skąpstwo potworne i najpodlejszą nikczemność.

To mówiąc, uderzała ją teraz powolniej, ale za to silniej.

— A to za głupotę, przez którą pani wierzyła wszystkim jaskrawym kłamstwom, którymi ja panią oszukiwałam.

Zmęczyła się wreszcie i przestała znowu na chwilę.

— Chodź — upominał Józef — bo nas jeszcze przyłapią.

— Głupi jesteś — zawołała Marynia, ale widząc, że nieszczęśliwa Anastazja leży jak bez przytomności, poszła.

Anastazja słyszała jeszcze, jak oni wychodzili, potem zemdlała.

Obudziwszy się, uczuła tak silny ból, jak gdyby jej ktoś wszystkie kości połamał.

Przypomniała sobie naturalnie, że pozostawiono ją bez centa, jak żebraczkę i zawyła z rozpaczy, jak dzikie zwierzę.

Będzie musiała znowu rozpocząć nędzne życie i pracować gorzko na kawałek chleba.

— Gdyby tak pobiec za nimi i zatrzymać ich, narobić krzyku i wysłać w pogoń za nimi ludzi — myślała w rozpaczy i wściekłości.

Aby się wyswobodzić z więzów, zaczęła się rzucać na łóżku, wymachując rękami i nogami.

Ale związana była tak silnie, że więzy nie puszczały.

Wykonywała więc całym ciałem ruchy coraz szybsze i jakieś dziwne.

Na próżno!

Chciała wreszcie przestać, gdyż wiedziała, że wszystkie jej, choćby nawet najogromniejsze usiłowania, są daremne.

Ale co to?

Boże!

Przecie ona nie chce już się ruszać, tylko leżeć spokojnie i czekać ranka i pomocy ludzi, a to członki same wykonywują jakieś szybkie, szalone, drgające ruchy, piana występuje na usta.

— Matko Święta, — pomyślała Anastazja, gdyż mówić nie była już zdolna, i jak straszliwa błyskawica przemknęło jej przez głowę, że dostała ataku epileptycznego — choroby świętego Wita.

Rzeczywiście straszliwe konwulsje wstrząsały jej ciałem i ustały dopiero, gdy nieszczęśliwa kobieta straciła przytomność.

Około południa wybrał się do niej z wizytą pan Eberhardt z Linzel.



Piękne zdjęcie z Alp.

Elegancko ubrany uzbroił się u ogrodnika w bukiet i przyszedłszy do mieszkania jej, zadzwonił.

Nikt nie otwierał.

Dzwonił kilkakrotnie i czekał cierpliwie, bo mu żal było odchodzić z bukietem.

— Musi chyba przynajmniej ta ruda małpa służąca być w domu — pomyślał

Zadzwonił raz jeszcze tak silnie, że rączka dzwonka została mu w dłoni, ale znowu nikt nie otwierał.

Jakaś pani schodziła po schodach

— Przepraszam bardzo — rzekł do niej — dzwonię tu już od kwadransa i nikt mi nie otwiera. Nie wie pani przypadkiem, czy panny Rother w istocie nie ma w domu?

— Nie znam wcale tej pani — odpowiedziała dama tonem, który mówił, że ją zna, ale nie lubi — może ona jeszcze śpi — dodała — wczoraj do późna miała gości, bośmy jeszcze długo po północy słyszeli wrzaski.

Eberhardt podziękował, a dama poszła.

Wreszcie zniecierpliwiony udał się do dozorcy po informację.

— Pani nie wychodziła dzisiaj — rzekł odźwierny — ja tu wciąż jestem przy bramie.

— Czegóż więc nie otwiera? Może ją w nocy zamordowali?

— W tym domu to niemożliwe — obraził się dozorca — ja przecież przez całą noc śpię w sieniach przy bramie. Nie spałem tej nocy do drugiej, aż wyszli goście od panny Rother. Potem tu była moja żona i nie otwierała nikomu.

— A może jest tu druga brama? — zapytał niespokojnie pan Linzel.

— Jest, ale zawsze zamknięta — odpowiedział dozorca.

Ale i on już był zaniepokojony, bo popatrzył na pęk kluczy, i zawołał przestraszony:

— Nie mam klucza do drugiej bramy.

Prędko poszli obaj do tylnej bramy i z przerażeniem zobaczyli, że brama jest otwarta, a klucz tkwi w dziurce.

Brama ta prowadziła do ciasnej, mało uczęszczanej uliczki.

Eberhardt zostawił u portiera nieszczęśliwy bukiet i pobiegł na policję.



Nadburmistrz miasta Magdeburga ofiarował państwu polskiemu domek, w którym internowany był Marszałek Piłsudski. Pamiątkowy ten budynek zostanie rozebrany i przeniesiony do Warszawy.

— Jeżeli ona tylko wyszła — myślał sobie po drodze — to będzie wzruszona moją troskliwością, a jeżeli naprawdę ją obrabowali, to muszę we własnym interesie starać się odszukać jej majątek.

Z pomocą urzędnika policyjnego i ślusarza otworzono po pewnym czasie drzwi od pomieszkania Anastazji.

Przez salon, w którym były ślady wczorajszej zabawy, przeszli dalej i Eberhardt otworzył drzwi prowadzące do sypialni, ale cofnął się przestraszony widokiem, który mu się tam przedstawił.

Wszystkie szafy były pootwierane, sprzęty poprzewracane, a na łóżku z ze związanemi rękoma i nogami i z zupełnie siną twarzą leżała Anastazja.

Ze wstrętem, a bez litości, odwrócił się od niej adorator.

— A więc najwidoczniej popełniono rabunek — rzekł obojętnie do komisarza policji — trzeba się przekonać, czy ta dama jeszcze żyje.

Rozwiązał jej ręce i nogi i skropił jej twarz zimną wodą.

Za chwilę nieszczęśliwa otworzyła oczy i poznała uniformy policyjne.

— Łapcie ją — zawołała — ona mi wszystko zabrała, jestem żebraczką.

Dostała na nowo ataku epileptycznego, co było bardzo strasznym widokiem dla otoczenia.

Wstręt Linzla wzmógł się jeszcze bardziej, a że z jej własnych ust słyszał, że ona już nic nie ma, chciał się wymieść.

Zatrzymał go jednak urzędnik policyjny.

— Proszę pana o imię i nazwisko — rzekł — musi je pan nam podać razem z adresem i później składać zeznania jako świadek.

Uczyniwszy zadość temu żądaniu, wysunął się pan Eberhardt Linzel zły, jak diabeł, zostawiając bukiet u portiera.

Anastazję odwieziono do szpitala.

Mieszkanie komisja sądowa protokularnie opisała i zapieczętowała.

ROZDZIAŁ CLXXX.

W radości

Jeżeli Zuzia nie żyła w niezamąconej radości, to tylko dlatego, że nie była zupełnie zdrowa.

Zresztą miała wszystkiego pod dostatkiem, a szarmancki towarzysz spełniał wszystkie jej prośby i życzenia.

Zuzia nie rozumiała po angielsku i to ją irytowało, że nigdy nie wiedziała, co Ferdynand mówi do ludzi, w jej obecności. Nie wiedziała też, że on zawsze każe dawać najtańszy towar, gdy ona coś chce, żeby jej kupić i dla tego udaje mu się obdarzać ją fałszywymi brylantami.

Tak oszukiwał ją na każdym kroku i jeździł z nią z miejsca na miejsce, nie wracając już nigdy tam, gdzie już raz byli.

— Przestępca polityczny, mówił hrabia Bärensprung — nie ma stałego siedliska.

Czytywał bardzo pilnie dzienniki i codziennie rano już kazał sobie wszystkie najwcześniejsze gazety przynosić do łóżka.

Zuzi opowiadał, że szuka tak pilnie, czy cesarz nie wydaje amnestii i nie dozwala mu powrotu do ojczyzny, w rzeczywistości szukał, czy nie wysłano za nim powtórnie listu gończego.

Ona była zanadto głupia, żeby mu nie wierzyć.

Gdzieś raz kumoszka jakaś opowiadała jej, że w miasteczku Camden na granicy pensylwańskiej żyje ksiądz nazwiskiem Burzol, który miesięcznie udziela prawie 200 ślubów i że do niego zjeżdżają się wszyscy, którzy gdzieindziej nie mogą dostać ślubu.

— A czy ten ślub później jest ważny ustawowo? — pytała Zuzia.

— Naturalnie — odpowiedziała kumoszka, a Zuzia miała plan gotowy.

Przy najbliższej sposobności przysiadła się do swego Freda i rzekła czule:

— Fredziu, może byśmy pojechali do Camden i tam wzięli ślub?

— Nie gadaj głupstw — ofuknął ją hrabia Bärensprung — jak możesz zawierać nowe małżeństwo, nie rozwiódłszy się z poprzednim mężem.

— E, w Camden to można najwygodniej się urządzić. Tam nie stawiają żadnych głupich pytań. Wszystko mi powiedziała gospodyni.

— Ale nie mówiłaś jej, że masz męża. Dostalibyśmy się do kryminału. Szczególnie tu w Ameryce surowo karzą za to.

Zuzia wybuchła płaczem.

— To po co tak wrzeszczysz na cały głos, że nie jestem twoją żoną! — skarżyła się piskliwie wśród łez. — Ty mnie już nie kochasz!

— Moja kochana — uciął prędko kochanek — jeżeli mi zaczniesz lamentować, przyjaźń nasza się skończy. Nie znoszę płaczliwych niewiast. Jeżeli ci się u mnie nie podoba, możemy się po cichu rozejść.

— Chcesz się mnie pozbyć — piszczała Zuzia — o ja nieszczęśliwa! Czemużem nie została przy moim dobrym mężu.

— A kto ci kazał go opuszczać!

Zuzia widziała, że tu się serio zanosi na zerwanie i zaczęła z innej miarki.

— Ja ciebie tak kocham — rzekła cicho — a ty mnie depcesz nogami! Okrutny!

— No, to nie wrzeszcz tak — udobruchał ją kochanek — podaj mi gazetę. Zobaczę, może jest anonsowane coś, czym bym ci mógł sprawić przyjemność.

Zuzia podała mu gazetę.

Jeżeli kłóciła się z Józefem, wypominała mu później miesiącami każde cierpkie słowo; kochankowi zaś przebaczała wszystko natychmiast.

On czytał gazetę i nagle zbladł.

Zuzia patrzyła na niego i zauważyła to.

— Co ci jest? — zawołała — możeś chory, posłać może po doktora?

Objęła go czule za szyję, ale on odtrącił ją brutalnie od siebie.

— Tym nieznośnym piskiem cały dom zaalarmujesz! — rzekł opryskliwie. — Cicho bądź! Mnie spotkało coś bardzo nieprzyjemnego. Żeby ci zrobić niespodziankę, dałem jednemu jubilerowi diamenty, miał ci zrobić garnitur, a tu czytam, że jego sklep zrabowano. Pewnie moje diamenty także przepadły. Muszę natychmiast iść na miejsce wypadku.

Zuzia zaczęła głośno lamentować, ale on uspokoił ją natychmiast:

— Słuchaj — rzekł groźnie — żebyś mi o tym ani nie pisnęła przed nikim, bo Amerykanie zawsze się śmieją, jeżeli Niemcowi stanie się coś złego! Pamiętaj więc, przed nikim ani słówka, bo będzie źle z nami.

Zuzia przysięgła naturalnie, że będzie milczeć jak grób.

— Spakujemy się teraz do podróży, rzekł hrabia — ale nikt nie potrzebuje wiedzieć o tym, że ja jadę. Bądź ty więc na dole, w izbie gościnnej; nie pożegnamy się, co jest wcale niepotrzebne, bo za kilka dni zobaczymy się znowu.

Zuzia usłuchała bez słowa i w kilka chwil później kochanek jej z małym ręcznym kuferkiem wyszedł z hotelu.

W krzakach naciągnął siwą perukę, włożył niebieskie okulary i przylepił sobie długą, białą brodę.

Tak zmieniony do niepoznania w szalonym pospiechu pobiegł na dworzec.

Nie biorąc biletu, ani nikogo o nic nie pytając wskoczył do pociągu, który właśnie odchodził, nie myśląc nawet, w którą stronę jedzie.

Zuzia została sama, z czego nie była niezadowolona, bo mogła robić co się jej podobało i żałowała tylko tego, że jej wiedeńskie znajome nic o tym nie wiedzą.

Żeby im napędzić trochę zazdrości, postanowiła napisać do Janki.

Napiła się ponczu i zaczęła sobie łamać głowę, jakby to napisać.

Wreszcie po namyśle napisała:

(Ciąg dalszy na stronie 717).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

SERCE LATA

Wiatr naniósł słodki zapach
rozkwitłych, łąkowych kwiatów...
jesień zagląda skrycie
W słoneczne serce lata...

Nad pustką pól bezkresną —
Gdzie ostatnie bieleją rżyska...
lato zagaśnie wraz z słońcem,
przeminie... i skończy się wszystko.

W wieczorną noc wrześniową,
już błądzi pól osmętnica...
i mgły rozsiewa białe
w srebrzystym blasku księżyca...

I zbiera liście pożółkłe
i kwiaty na miedzach zdeptane...
i tuli do serca lata
sieroce swe ukochanie...

Odmawia pod polną gruszą
modlitwy poszeptem cichym,
a wiatr wonią pól i lasów
na miedzy wieczornej oddycha — —

W tę noc wrześniowych poszeptów
wiatr nam najpiękniej tłumaczy...
o sercu niepokochanym,
nad którym jesień zapłacze...

Józef Baranowski.

ADRESY...

P. Pietrzakówna Maryla z Leszna proszona jest o nadesłanie redakcji dokładnego adresu.

PRAGNĘ...

„Brazylianin". Chętnie przyjmuję Pana do naszej „Rodzinki" i myślę, że szybko wyzbędziesz się w niej swego pesymizmu i melancholii. Och, my Panu nie pozwolimy na żadne smutki — wszak nie jesteś człowiekiem starym, przed którym mogłyby być zamknięte te rzeczy, do jakich tęsknią młodzi. Zresztą uważam, że czasem starsze osoby czują i myślą młodziej niż ich młodzi znajomi.

Pragnę, aby rozjaśnienie Pana smutnych myśli nastąpiło w czysto amerykańskim tempie. Adres swój nadesłałeś mi, o „Brazylianinie" — więc skoro listy dla Pana wpłyną, nadeślę je Panu i na odwrót: jeżeli zainteresuje Pana któryś z pseudonimów w „Krainie", czy to żeński, czy męski — wyśle Pan list dla niego z dołączonym znaczkiem w kopercie zaadresowanej do redakcji „Moich Powieści" z dopiskiem (Kraina szczerości i naszych trosk). Sprawa nietrudna — prawda?

Życzę Panu dużo miłej i szczerej korespondencji z „Krainiakami" i pozdrawiam serdecznie.

Halo! „Brazylianin" zasyła słowa pozdrowień „Białej Uajali", „Młodemu Orłowi", „Łobuzowi z Orchowa", „Irce — Wielkopolance" i „Jagódce II" oraz całej „Krainie".

ZAPYTAJ SAMA

„Bogda". Należy sprawić, aby ta nowa nasza siostrzyczka wróciła do dawnej wesołości, z której słynęła zarówno jak z optymistycznego zapatrywania się na wszelkie sprawy życia i ludzi.

Pyta mnie Pani „Bogdo" — dlaczego p. Grzegorski pisze przeważnie smutne wiersze i czy może naprawdę cierpi dużo w życiu. Zapytaj go sama, może zechce Ci coś powiedzieć o sobie — choć, moim zdaniem, trudno jest ludziom wartościowym zdecydować się na mówienie o sobie. Wolą oni raczej mówić o bliźnich i ich smutki lekką, współczującą dłonią koić. Wszelako spróbować można. A teraz umieszczam Twój dopisek dla „Krainy":

„Halo! „Krainiacy" — czy nie zechciałby ktoś z Was napisać do mnie? Wierzcie mi, że bardzo się ucieszę. Na każdy list postaram się odpowiedzieć.

Mówią, że jestem przystojną. Byłam zawsze wesołą, lecz teraz jakoś nie mogę się uśmiechać, ale gdy do mnie napiszecie, to znowu wróci mój dawny humor.

Pozdrawiam „Dziecię Lasów", „Samotną Włościankę", „Dor - On'a", „Morowego Chłopa", „Stepowy Płomień" i wszystkich z „Krainy".

Miła „Bogdo" — sądzę, że nie rozczarujesz się do „Krainki" po dwuletnim niespełna jej uwielbianiu. Fotografię Twoją schowałam do albumu „Krainki" na pamiątkę. Nie daję jej do „Moich Powieści", gdyż nie jest dość wyraźna do druku i ginie na tym zbyt obszernym białym tle.

Pozdrawiam serdecznie i czekam na nowy list!

W DNIU IMIENIN...

Panu Stefanowi L. — poświęcam.

Patrz, do Twego okienka stuka ptaszek mały,
I tak bardzo jasno świeci dzisiaj słońce,
O... znów inne ptaszki tutaj się zleciały,
Co — to?? czyjeż to są te skrzydlate gońce?

Gdzieś z mego ogródka znikły wszystkie — kwiaty
Kolorowe astry i jesienne purpurowe róże
Takie puste i smutne zostały rabaty
Słonka także nie ma — takie szare chmury w górze.

W wazonie miałam świeże, piękne georginie,
I one znikły z kwiatami z ogródka mojego
Patrzę w lustro... co to? na mej twarzy uśmiech ginie,
Cóż to za bunt — nie rozumiem tego.

— — — — — — — —

Dziś już wiem wszystko... i znam tajemnicę
Gdy cichym rankiem poszłam w stronę Twoją
Tam otoczyły kwiaty wieńcem Twoją kamienicę
A ptaszki przed koncertem swe gardziołki stroją.

Zabrzmiał chór ptaszęcy, cudnie i donośnie,
I w Twoim okienku słońca promyki zabłysły
Wokół pęki kwiatów tańczyły pachnące...
Z Twoich drogich oczu... łzy radości trysły...

I wszystkie moje przyszły do Ciebie uśmiechy
I kwiaty, słońce, ptaki, czułe słowa pełne szczęśliwości
I chcemy Ci sprawić tyle, tyle ogromnej uciechy...
W ten dzień jeden, jedyny — dzień Twojej radości.

Helena Karge

DZIĘKUJĘ!

„Lawrence". Nieraz do redakcji przychodzą Sympatycy „Krainy", aby zobaczyć p. Zofię. Może szybko zapominają, że tutaj byli, może wychodzą rozczarowani, że p. Zofia nie jest taką, jaką pragnęliby ją ujrzeć? Tego nie wiem, ale po każdej takiej wizycie „coś" u mnie zostaje. Nowa twarz, dużo dobrych wrażeń i jakiś ciepły uśmiech gdzieś w głębi serca... Że przecież przybył, czy przybyła tu do mnie z daleka, aby mi osobiście powiedzieć tyle drogich słów. A gdy mi je mówią, to drżą im usta, są wzruszeni... Dziękują mi za dobroć i pamięć. To ich najwięcej ujmuje. „Więc gdyby wszyscy ludzie byli dobrzy i serdeczni, zapanowałaby „na świecie Miłość?" — wtrącam. „Tak, tak!" — kiwają głowami, patrzą na mnie, mówią jeszcze dużo, a potem odchodzą. Gonię za nimi wzrokiem dopóty, dopóki nie zniknął za drzwiami i wtedy to czuję ten ciepły uśmiech gdzieś w głębi serca...

Za ten uśmiech dziękuję dzisiaj Panu, Drogi „Lawrence"...

Wiedziałam, że doskonale zapamięta Pan sobie ciszę naszej jasnej redakcji. Podobnie jest cichą i moja praca. Najlepszy dowód, że nawet w Żninie poinformowano Pana źle, co do p. Zofii. Ale to nic! O to mi chodzi przecież, abym była nieznana nikomu, ale za to, aby moja praca dużo, dużo dawała. To będzie zawsze moim staraniem!

Gawędziłabym tak z Panem w nieskończoność, nie muszę odmówić sobie tej przyjemności ze względu na pamięć o innych Sympatykach. Zatem do następnego listu i do zobaczenia się kiedyś znowu w naszej słonecznej, cichej redakcji!

Za piękny wiersz — stokrotnie dziękuję!

ZMIENIONY PSEUDONIM

„Nina Poznanianka". Czynię Pani prośbie zadość i zmnieniam jej pseudonim — jednakże dodaję szczerze, że nie lubię, gdy członkowie „Rodzinki" zmieniają swoje pseudonimy. Przecież to daje przykre wrażenie, że jedno z „Krainiaków" umiera — że go już nie ma dla nas, że nie może go już dosięgnąć ani nasze dobre życzenie, ani myśl żadna. Ja wprawdzie wiem, że polubiona już w międzyczasie osoba pozostaje nadal w naszym gronie, lecz reszta „Krainiaków" albo nie domyśla się tego nawet, albo wie, że pod nowym pseudonimem ukrywa się jakieś ze starszych, kochanych siostrzyczek lub braci, tylko kwestia które. A wszak może się zdarzyć, że nowy pseudonim tej samej — niechby nawet bardzo kochanej — osoby nie zjedna już sobie tak wielkiej sympatii, jak poprzedni. W ten sposób dla zainteresowanej powstaje strata, a dla mnie przykrość, że nie mogę wyjaśnić „Krainiakom", iż taka to a taka „Konwalijka" o którą dopytują się gorliwie — kryje się pod więcej fascynującym pseudonimem „Lotosu", czy innej „Orchidei".

Sądzę, że wyjaśniłam dostatecznie swoją niechęć do zmian pseudonimów.

Co by to powstał za krzyk w „Kraince", gdyby n. p. „Biała Uajali" zechciała nagle z bliżej nieumotywowanego kaprysu zmienić pseudonim i wierszyki swoje podpisywać jakimś tajemniczym „Xy", lub innym cudactwem? No, nie chcę nawet myśleć o tym — miałabym tu listów z wymówkami bez końca.

Więc proszę na przyszłość nie zmieniać raz obranych pseudonimów.

Miła Moja „Nino Poznanianko", nie wiesz, jak przykro mi, że masz często przykrości w życiu i bardzo mało szczęścia mimo, że sama zwracasz się całym sercem do otoczenia i z ufnością wypatrujesz w nim (otoczeniu) rysów wartościowych, szlachetnych. Chciałabym bardzo, abyś jak najszybciej znalazła kogoś godnego w „Krainie" i aby Ci korespondencja z nim dała to, czego wypatrujesz wśród ludzi tak długo bez pozytywnego rezultatu.

Wiem, że należy Ci się tyle od życia i nie tracę nadziei, jakobyś nie miała tego osiągnąć. Czuję, że rychło już otrzymam od Ciebie list z radosną nowiną, z ogromnym wykrzyknikiem „Eureka!"

A teraz pozdrawiam Cię serdecznie i przesyłam moc najcieplejszych życzeń!

ZAPAMIĘTAJ...

H. K. z Torunia. Dziękuję Pani za te słowa, którymi mi mówisz, że stajesz przede mną, jak przed kimś najbardziej bliskim, jak przed kimś kogo znasz od lat. Że wierzysz we mnie,

w moje — jak mówisz — złote serce. I że tak szczerze wypowiadasz całą doznaną przykrość, która wynikła z cudzej niesumienności.

Dziecko Drogie! Masz słuszność, że mam dla Was, wszystkich członków „Rodzinki", przychylność, pobłażliwość i miłość matki i dlatego głęboko odczułam Pani przykrość. Lecz postarałam się choć trochę ją zmniejszyć. Rezultat jest Pani już, sądzę, wiadomy.

Co zaś do pominiętych rozwiązań zadań z „Chwili zastanowienia", to pozwól sobie powiedzieć, że nie pominięto ich rozmyślnie, tylko wpłynęły do redakcji za późno. Zapamiętaj proszę, że rozwiązanie musi wpłynąć najpóźniej w środę rano, bo skoro wpłynie po poł. nie jest już brane pod uwagę, gdyż spis tych, którzy przysłali trafne rozwiązania jest już sporządzony i losowanie na rzecz uczestników tego kącika rozegrane.

Wierszyk, na umieszczeniu którego tak ogromnie Drogiej Pani zależy, daję do niniejszego numeru — zależy mi na tym, aby sprawić Wam obojgu przyjemność.

Łamigłówkę dałam do teczki „Chwili zastanowienia" — ukaże się w którymś z najbliższych numerów.

No, czy zadowolona z dalekiej a bliskiej, obcej a dobrze znanej opiekunki „Rodzinki"? Czy zadowolona — Mała, Kochana Helunia?

Jeżeli tak, to niech uśmiechnie się pogodnie, serdecznie i niech pod wpływem zadowolenia napisze znowu jeden z tych miłych wierszyków, które cieszą się taką wyraźną łaskawością Wujka Janusza, i które ogromnie lubię ja.

Odpowiedziałam równocześnie na oba Pani listy, a teraz pozdrawiam Panią serdecznie!

NOWA „KRAINIANKA" POD ADRESEM P. CZEKALSKIEGO

„Mi"! Przyjmuję Panią z radością wielką, gdyż mam nadzieję, — sądząc po pierwszym Twoim liście, — że będziesz mi niemałą pomocą w budzeniu w „Kraince" jasnych, dzielnych myśli i uczuć, w kojeniu bólów i niepotrzebnych często smutków.

Bije z Twych słów zdobywcza siła młodości i jej jasna, otwarta szczerość. Mów tak dużo, mów zawsze i bądź zawsze śmiałym zapaśnikiem w walce z trudnościami życia i bądź zawsze uśmiechniętym zwycięzcą! Pragnę tego gorąco dla Ciebie i dla naszej „Rodzinki", do której tak wołasz:

„Krainko!"

Twoją koerspondencję czytam zawsze od początku do końca, lecz ani razu nie zdecydowałam się zabrać głosu. Dziś szczególną moją uwagę zwrócił wiersz p. Czekalskiego — może dlatego, że jest niejako odbiciem i mego życia.

P. Czekalski nie chce zawrzeć bliższej znajomości z „Bajką". O, bynajmniej ja nie zamyślam pójść w jej ślady — wiem z góry, że autor odpowiedziałby „nie warto". Nie mam też zamiaru dawać mu recept na to, by życie zechciał sobie rozjaśniać, by nauczył się znów śmiać. Nie, bo wiem, że takich recepto - dawców mógł mieć w życiu wielu. Chcę mu tylko powiedzieć, że ile razy, takiej nic nieznaczącej mnie, było naprawdę bardzo ciężko, gdy wszystko waliło się w gruzy — mówiłam sobie „trzym się wiatru". I rzeczywiście silnie chwytałam, strasznie mocno trzymałam ów wiatr, że biedak słabł. Nie mógł mnie zgnieść lub zniechęcić, choć krzywdę czynił zawsze.

„Trzym się wiatru" — nabrzmiały rozpaczą rapsodie!

„Nie warto" — raczej smutku i bólu pamiętać; zaś zawsze warto na nowo próbować żyć. „Trzym się wiatru" — to takie na pozór bez sensu słowa, w tym jedno na pół połknięte, a jednak gdy się dłużej pomyśli mają w sobie dużo treści.

Różne są wiatry. Więc zefiry, więc huragany, tajfuny — a gdy im siły doda ludzka złość i przewrotność, mogą się stać bardzo nawet groźne. Ale w człowieku jest wielka siła, która i te najsilniejsze tajfuny zdolna jest uspokoić. Tylko chciejmy walczyć i wierzyć!

Mnie mimo wszystko jest dobrze, bo wierzę, że kiedyś sobie jasne jutro wywalczę — a teraz pracuję.

Musi mi być dobrze choć nie mam wsi swojej — takiej przystani, gdzie cicho.

„Trzym się wiatru" i pokaż jasną twarz.

... A wieczorem babunia przy kominku siada, w krąg niej dzieci małe i te duże — o tak, i te duże słów babuni lubią słuchać — a ona mówi i mówi... Dzieci się rozjaśniają, promienieją, bo bajka jest śliczna, śliczna!!!

A babunia się cieszy, że swoim choć chwilę radości sprawiła. Tą radością była bajka.

* * *

Tyle napisałam, lecz kwestia, czy zechcecie mnie wysłuchać i przyjąć do waszego grona. Co prawda ośmieliła mnie dobroć Waszej opiekunki, z jaką odnosi się do nowicjuszek. Ładnie proszę przyjmijcie mnie do swego towarzystwa — będę z Wami wszystkimi mocno się śmiać, cieszyć, radować, no i smucić, gdy będzie gruntowny powód. Ale nie takim zbolałym rapsodem, co to głowę pochylił i robi z siebie ofiarę, miast ją podrzucić wysoko i twardo pracować, walczyć o słońce i radość.

Oj, i mnie dobrze zły los dał się we znaki, a jednak daję sobie radę. A jestem przy tym sama. Mateńki już nie ma, dobre oczy zamknęła na zawsze. Może dlatego tym silniej pragnę się dostać do Waszej „Rodzinki", która żyje i potężnie się rozwija w swej zaczarowanej „Krainie szczerości i trosk". W tej „Krainie" pragnę po pracy wspólnym życiem odetchnąć.

Gdy mnie Wasza duchowa kierowniczka na wstępie nie odepchnie, do „Rodzinki" przyjmie, to napiszę jej i Wam dużo, dużo o swej pracy, którą mocno kocham i w której widzę wiele radości.

Może nie pogniewa się p. Zofia za ową „epistołę" wypisaną pod adresem p. Czekalskiego. Żal mi go, bo może ma naprawdę ciężkie życie, ale dlaczego znajomość z „Bajką" odrzucił. Nie znam jej, gdyż piszę pierwszy raz do Was — no, ale przecież w każdej bajce jest troszeczkę prawdy i dobra, a zawsze jest jasna i miła. Prawda?

A teraz kończę, przesyłając dla wszystkich masę szczerych życzeń.

POSTARAJ SIĘ...

„Złoteńko". Mała Dziewczynko — Ty! Dlaczego, zaczynając więcej niż dziesięć razy rozmowę listowną ze mną, nie przysłałaś mi jej... niechby nawet nieskończonej? Wiesz przecież że nie jestem strasznie wymagającą i że miłą mi jest pamięć chociaż w pięciu wyrażona słowach.

I dlaczego jesteś w smutnym nastroju — czy musisz tak czuć? Nie chcę, abyś się smuciła, Ty taka słodka i kochana. Postaraj się wyrzucić daleko od siebie smutki, pogonić je hen, za dziesiątą górę. Piszesz wszak, że korzystałaś już z niejednej mojej wskazówki, dawanej nawet nie bezpośrednio Tobie, a innym znękanym członkom „Rodzinki" — przeto uczyń to i teraz, gdy radą skierowane jest do Ciebie i Ciebie tylko ma na uwadze. Chcę abyś nie smuciła się, nie sumowała, lecz przeciwnie, wesoło i znowu pogodnie patrzyła na życie i świat.

Żeby to „Złoteńko", co z taką zgnębioną powagą patrzy gdzieś w dal, siedząc na malowniczym urwisku nad przepiękną wodą — rozsłoneczniło się. rozzłociło głębokim, sercowym uśmiechem szczęścia.

Listy wysłałam, a poniżej przedrukowuję Twoje komunikaty:

„Serdeczne pozdrowienia „Stelli Maris", „Białej Uajali", „Gwidonowi", „Ny — czarowi"!

„Maleńką Dzidzi" pytam, gdzie „zdobyła" take śliczne tło do zdjęcia?

„Stefku z Gdyni"... czy brak odwagi w ciemności, gdzie naprawdę warto świeczki?

Z dziką przyjemnością zastąpiłabym „Nitrama" podczas jego ćwiczeń wojskowych — las, jezioro, muzyka.... Oj, jakże to pociąga!!!

Lubię fotki i sążniste listy — może ktoś z czytelników „Moich Powieści" z województwa łódzkiego o subtelnym charakterze napisze do „Złoteńka"?

Wszystkim „Krainiakom" nieskończoną ilość pozdrowień!

Teczka Wujka Janusza

CIESZY MNIE!

„M. S." Cieszy mnie bardzo, że egzaminy Pani wypadły pomyślnie i że otrzymałaś tak szybko dobrą posadę. Cieszy mnie z niemniejszą siłą obietnica częstego korespondowania z „Krainką", która — sądzę — przypomni sobie łatwo tajemniczą „M. S." Tylko bądź uprzejma nadesłać swój adres, gdyż nie chcę, aby pisane do Pani listy zalegały bezpożytecznie w mojej teczce. Przecież wolisz otrzymać je szybko — więc pośpiesz się.

„Krainiakom przypomina „M. S.", że jest ciemną blondynką o „kocich oczach", dość poważną, ale umie być też wesołą.

Prosi, aby „Krainiacy" zechcieli napisać do niej — odpowiedź murowana!

„Idealistę Pałuckiego" zapytuje, czy przypomina ją sobie. Jeżeli tak, to prosi bardzo o napisanie kilku słów pod starym adresem.

Całą „Rodzinkę" pozdrawia serdecznie i prosi o liściki.

Życzę Pani dużo przyjemności w odnowionym kontakcie z nami.

NIE MARZ...

Wśród zieleni,
na pagórku,
w kwiatowym ogrodzie,
jej sukienka
wciąż się mieni.

Na wiejskim podwórku
widzę co dzień
tajemniczą
i nieznaną wcale,
jak oczami
w dal hen wodzi....

O! nie przyjdzie
tu królewicz,
dziewczyno, do Ciebie,
tyle innych
w świecie dziewic,
jako gwiazd na niebie

Nie marz, nie myśl,
bo nie warto,
ot, idź w życie
i zapomnij już na zawsze
swego królewicza...

Tadeusz Maria Mański.

ŻYCZĘ Z CAŁEGO SERCA!

P. Tadeusz M. „Ani ptasząt śpiew nic ją nie wzrusza"... Owszem, tak jest dobrze, ale w skrypcie było inaczej. Widocznie pomylił się Pan i stąd wyszły „niepotrzebne kawały".

O ile czuje Pan zamiłowanie do dziennikarstwa, to radzę Panu szczerze ukończyć szkołę dziennikarską. Praca ta daje dużo zadowolenia, jeżeli ukocha się ją. Ma ona i swoje doniosłe znaczenie, bo wychowuje społeczeństwo i uczy, jak żyć uczciwie i zgodnie z prawami wartościowego człowieka i obywatela państwa.

Jeżeli tak Pan pojmie swoją późniejszą pracę, Polska uzyska jednego dobrego dziennikarza więcej. Życzę Panu z całego serca wszelkiej pomyślności w zrealizowaniu swych zamierzeń!

Za wierszyki — dziękuję! Do druku wybrałem: „Nie marz... i „Karczmarz".

KARCZMARZ

Wino macie?... Przewyborne,
Wódkę, likier, słowem wszystko —
Umie karczmarz gadać słówka,
Myślą ludzie: „poczciwisko",
Co się korzy wciąż pokornie,
Łasy, chytry na pieniądze,
Więc przymila się i kwita. — —

Ale karczmarz wie, co robić,
Woli grzecznie gości spytać — —
Prawda, łasy na pieniądze,
Lecz pracuje, więc chce plonu,
Bo dla córki złota trzeba
I dla siebie, by do zgonu
Wystarczyło zawsze chleba.

Umie karczmarz gadać słówka — —

Tadeusz Maria Mański.

ŻAL MI SZCZĘŚCIA...

Znów patrzę na ciebie,
Jak w lunatycznym śnie
I znów uwierzyć nie mogę,
Że ty kochałeś mnie...

Dziś ściskam twą rękę
Zimną, jak lód
I czuję udrękę
Serca i trud...

Dziś patrzę w twe oczy
Zimne, jak stal
I dziś mi znów szczęścia —
Tak żal... tak żal!....

„Zbłąkana Gwiazda".

Raj kobiet



J 92 033. Młodociana bluzeczka sportowa z jedwabiu w pasy, przybranie stanowią guziki. Potrzeba około 1.60 m. jedwabiu, szer. 95 cm.

J 92 032. Sportowa bluzeczka kamizelkowa z wełny w kratę — bardzo miła i praktyczna. Potrzeba 1,60 m. wełny, szer. 100 cm.

J 92 031. Elegancka bluzka popołudniowa z crépe satin, ozdobiana zakładeczkami. Potrzeba około 2 m. jedwabiu, szer. 80 cm.

J 92 034. Sportowa bluzeczka jedwabna o bardzo prostym kroju. Przód, kołnierzyka i górę rękawów ozdabiają stebnowania — zakładki. Potrzeba 2,55 m. jedwabiu, szer. 95 cm.

J 92 037. Ślicznie drapowany żabot z białej georgette'y, zakończony paseczkami ręcznej mereżki. Potrzeba około 0,55 m. georgette,y, szer. 90 cm.

J 92 035. Podkładana kamizeleczka — kołnierzyk — żabot z crépe de chine, obszyta delikatnymi welansjenkami. Ilość materiału: 0,50 m. szer. 95 cm.

J 92 036. Jedwabna kamizelka wiązana z tyłu — odpowiednio pod kostium. Potrzeba około 0,50 m. materiału, szer. 95 cm.

J 92 038. Na tę sportową, skromną spódniczkę nadaje się najbardziej wełna angora, której potrzeba około 1,85 m. szer. 100 cm.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji w cenie 1,50 zł za sztukę.

Policja w roli swata

Niewątpliwie i w Brazylii zdarzają się małżeństwa z miłości lub dla interesu — tak samo jak w Europie — ale bez porównania częściej małżeństwa są kojarzone pod lufami rewolwerów i ostrzami sztyletów.

Rewolwer i nóż w rękach jednego z członków decyduje o małżeństwie wtedy, gdy młoda dziewczyna pragnie wyjść za mąż za upatrzoną ofiarę i oświadczy, że taki to a taki mężczyzna „skompromitował" ją swymi zalotami.

Najgorszym niebezpieczeństwem dla kawalerów na całym terytorium Brazylii jest to, że nigdy nie wiedzą, kiedy i w jakich warunkach ekscentryczna Brazylianka chce być „skompromitowana" i co należy uważać za ową kompromitację. Wystarczy wizyta w domu rodziców panny i przypadkowe spotkanie jej na ulicy, zresztą zwykle w towarzystwie ciotki albo brata — aby los nieszczęsnego kawalera był przesądzony. Ojciec, brat, szwagier albo wuj „uwiedzionej" zgłasza się nazajutrz do „nikczemnego uwodziciela" i zasiadłszy wygodnie z miną ponurą powiada:

— Coisa muito seria!

Jest to bardzo zły znak. Gdyby chodziło o zaciągnięcie pożyczki, albo ubicie jakiegoś interesu, pierwsze słowa rozmowy brzmiały by w najgorszym razie:

— Coisa muito impertante!

Już po kilku słowach brzmi alternatywa: „Ożenisz się z dziewczyną, albo będzie źle!" Nie iest to bynajmniej czcza groźba i nieszczęsny „uwodziciel" wie, co go czeka. Jeżeli ożenisz się — masz naszą przyjaźń i solidną pomoc całej rodziny. Będzie się do ciebie mówiło per „wy" — w przeciwnym razie: „Strzeż się ty!" Te dwa słówka: „wy" i „ty" oznaczają — małżeństwo albo zemstę. Najczęściej ofiara wybiera pierwsze.

W Brazylii rolę swatów odgrywają nie tylko rodzice i krewni panny, ale również i policja. Jeżeli jakaś młoda dziewczyna zawiadomi policję, że np. senor Alonzo uwiódł ją, oskarżonego natychmiast wzywają do komisariatu. O ile nie potrafi on udowodnić swego alibi — a udowodnić je w stosunkach brazylijskich jest rzeczą nieomal niemożliwą — wówczas musi ożenić się, albo ...idzie do ciężkiego więzienia na dziesięć lat. Chyba, że zeznania dziewczyny są zbyt mgliste i najwidoczniej nieprawdziwe — w tym wypadku jedynie słabnie nieco presja organów policyjnych, i, jeżeli rzekomy winowajca urodził się pod wyjątkowo szczęśliwą gwiazdą, to cała awantura może skończyć się dla niego paromiesięcznym aresztem prewencyjnym i kilkoma wybitymi zębami. W przeciwnym razie musi wybierać między wieloletnim więzieniem, a bezinteresownym małżeństwem, gdyż w Brazylii rozwody nie są znane.

Pewnego razu w jednym z miasteczek brazylijskich zdarzył się taki wypadek: Młoda, siedemnastoletnia dziewczyna, córka bogatego plantatora przybiegła do komisariatu domagając się widzenia z szefem, który, notabene. był przyjacielem jej ojca. Opowiedziała mu, zalewając się łzami, że uwiódł ją niejaki Armandino, asystent aptekarski i nie chce ratować jej honoru przez małżeństwo. Szef policji nakazał natychmiast sprowadzić winowajcę na posterunek. Nie upłynęło 10 minut, gdy do gabinetu wepchnięto kolbami biednego pomocnika aptekarskiego.

— Nie lubię dużo mówić! Będzie pan gnić w więzieniu tak długo, dopóki pan nie ożeni się z senoritą Luizą.

Armandio osłupiał, patrząc na komisarza i pretendentkę do swej ręki. Nieśmiało spytał, o co właściwie chodzi. To już wyprowadziło komisarza z równowagi.

— Jak panu nie wstyd jeszcze dyskutować o pańskim bezecnym uczynku! Widzę, że honor dziewczyny nie znaczy nic dla takiego nikczemnika.

— Ależ ja w ogóle nie wiem, o co chodzi. Ja raz rozmawiałem z tą panią podczas świątecznego jarmarku, po tym przeszliśmy się przed domem jej ojca, a wczoraj ona wezwała mnie do siebie, żebym wyjął pieskowi cierń z łapki. Jednak, kiedy przyszedłem z instrumentami nie mogliśmy znaleźć tego pieska i przez parę minut rozmawialiśmy o pogodzie. To wszystko.

Komisarz przerwał mu, czerwony ze złości:

— Nie chcę nawet słyszeć o pańskich nikczemnych wyczynach. Proszę wybierać: małżeństwo, albo więzienie, chociaż najwłaściwiej byłoby takiemu łotrowi palnąć w łeb.

Młodzieniec poprosił o parę minut do namysłu. Nie miał rodziców, bracia mieszkali gdzieś aż w Rio Grande do Sul. Któż by mógł go wybawić z takiej opresji.

— Dobrze, ożenię się z senoritą, ale teraz proszę mnie zwolnić.

Świat i życie

Tajemnicze zjawiska niebieskie

Niebo oglądane wieczorem, nocą lub nad ranem, ma swoje tajemnice, które dzisiaj są już przez naukę, szczególnie zaś astronomię, mniej lub więcej wytłumaczone.

Do takich ciekawych zjawisk niebieskich należą między innymi t. zw. „białe noce" szczególnie wyraźnie występujące w krajach północnych. Nieraz w reportażach turystyczno-podróżniczych z tych krajów czyta się o owych „białych nocach" z wielką dozą zainteresowania. Tymczasem t. zw. „białe noce" występują nieomal na całym terytorium Polski — a szczególnie najsilniej i najdłużej trwają na Pomorzu — i pomimo tego są prawie zupełnie u nas nieznane ogółowi.

Według wykresów i obliczeń astronomicznych począwszy mniejwięcej od 20 maja do 20 lipca, więc z górą przez dwa miesiące, zmierzch astronomiczny w Warszawie trwa bez przerwy od wschodu słońca do zachodu słońca. Na Pomorzu zaś zmierzch astronomiczny trwa najdłużej, bo bez przerwy przez 3 miesiące a mianowicie przez czerwiec, lipiec, aż do połowy sierpnia. W tym czasie nie ma na Pomorzu nocy astronomicznych wcale, a zamiast nich występują t. zw. „Białe noce" które najlepiej można obserwować przy niezachmurzonym niebie, podczas księżycowych nocy. „Białe noce" na Pomorzu są tak jasne, że bez trudności można podczas nich czytać gazety, czy książki bez uciekania się do pomocy światła sztucznego. Wiele miast pomorskich wykorzystuje praktycznie „białe noce" w ten sposób, że likwidują podczas nich gazowe, czy elektryczne oświetlenie placów i ulic miejskich. Rzecz naturalna, że w tym okresie czasu niebo musi być nocą czyste, nie pokryte chmurami, gdyż w takim wypadku zamiast „białych" są czarne noce". Oprócz wymienionych wyżej tych miesięcy, podczas których „białe noce" trwają na Pomorzu bez przerwy — występują one również w ciągu innych miesięcy przez cały rok, lecz czas ich trwania jest bardzo krótki. bo ogranicza się tylko na 1 —3 godzin. W miesiącach zimowych: lutym i w marcu i w miesiącach jesiennych: październiku i listopadzie „białe noce" na Pomorzu trwają zaledwie jedną godzinę na dobę (nocą).

W innych miesiącach, za wyjątkiem maja i września, „białe noce" można obserwować przez dwie godziny — a w maju i wrześniu przez przeszło trzy godziny.

Na Wileńszczyźnie „białe noce" trwają tak samo długo, jak i na Pomorzu. W północnej Małopolsce występują zaledwie przez jeden miesiąc — a w południowej, zwłaszcza na Pokuciu nie ma ich wcale.

Zjawisko „białych nocy" polega na dług. zmierzchu astronomicznego. Zmierzch stanowi przejście pomiędzy dniem i nocą i zaczyna się on względnie kończy się z chwilą zachodu względnie wschodu słońca — to jest gdy kończy się lub zaczyna dzień. Zmierzch astronomiczny odpowiada początkowi względnie końcowi nocy, astronomicznej. Im krótszy ten zmierzch, tym noce astronomiczne są dłuższe. Skoro zaś zmierzch trwa bez przerwy od zachody do wschodu słońca (na Pomorzu dzieje się to w wyżej wymienionych miesiącach czerwcu, lipcu do połowy sierpnia) wtenczas nocy astronomicznych nie ma wcale. Zamiast nocy wy-

stępuje jeden ciągły zmierzch, czyli t. zw. „biała noc.".

Innym również ciekawym zjawiskiem niebieskim jest tak zw. „światło zodiakalne" czyli „zwierzyńcowe" w barwie srebrno-szarej. Na Pomorzu najlepszą porą dla obserwacji tego „światła" jest miesiąc marzec lub jesienne noce księżycowe. „Światło zodiakalne", które jeszcze nie jest dostatecznie zbadane, ma wygląd świetlnego stożka skośnego, wynurzającego się spod horyzontu w miejscu, gdzie zaszło słońce. Jesienią zjawisko to występuje przed brzaskiem dziennym na wschodzie tam, gdzie ma wzejść słońce.

„Światło zodiakalne" najokazalej występuje w krajach tropikalnych, gdzie atmosfera uboga w chmury, odznacza się nadzwyczajną przejrzystością. Tam daje się dostrzegać prawie każdej pogodnej nocy w postaci jasnej, matowej poświaty, ustawiającej się prostopadle względem horyzontu.

„Światło to rozciąga się wzdłuż pasa nieba zwanego zodjakiem czyli zwierzeńcem — i dlatego nazywa się „zodiakalnem".

Depesza

Pierwszy pocałunek

Zaczęło się przejaśniać. Krople deszczu dzwoniły jeszcze po szybach, ale coraz słabiej i coraz rzadziej, aż w końcu ustały zupełnie. Tafle szyb poorane strugami deszczu, spływającymi po nich całe popołudnie, rozjaśniły się. Wirski wyjrzał przez okno.

— Nareszcie — odetchnął.

Narzucił na siebie palto, wcisnął na głowę kapelusz i pędem zbiegł na dół. Ogarnęła go fala ciepłego powietrza. Zachodzące słońce, przedzierając się przez chmury, falą krwawych promieni zalewało miasto, które wyglądało teraz, jak skąpane w ogniu. Było bardzo cicho. Wirski stanął niezdecydowany. — Dokąd pójść? — zastanowił się. — Ech! Wszystko mi jedno! Byle bliżej ludzi. Byle zdala od samotności. — Skierował się w stronę Placu Wolności.

Miasto zazwyczaj ludne — świeciło pustkami. Co chwila przejeżdżające samochody obryzgiwały fontannami błota chodniki i zmszały nielicznych przechodniów do ucieczki pod mury kamienic. Z dachów, nieobeschłych jeszcze po ulewie, spadały wielkie krople wody i dzwoniły głucho na kamiennych płytach chodnika.

— Do diabła z takim życiem — zaklął Wirski półgłosem. Sam nie wiedział dzisiaj, co mu jest. Może pogoda tak denerwująco wpłynęła na niego? Nie miał pojęcia. Z chwilą, gdy przyszedł z biura, nie mógł sobie po prostu znaleźć miejsca. Nawet obiadu nie mógł jeść. Nie chciał się przyznać przed sobą, ale było mu jakoś dziwnie smutno.

— Po co właściwie człowiek żyje — kombinował ze złością.

— Po to tylko żeby się nażreć, wyspać, no i naharować siedem godzin dziennie. Nic innego poza tym!

Uświadomił sobie, że odkąd przyjechał do Łodzi — a siedzi tu już przeszło rok — nie miał jednego dnia spędzonego naprawdę wesoło.

Miał kolegów z biura — owszem, ale nie mógł jakoś nawiązać serdeczniejszego z nimi kontaktu. Między nimi a nim występowały zasadnicze różnice charakterów, które nie pozwalały na żadne zbliżenie. Wirskiemu nie odpowiadały rozrywki kolegów. Raz jeden tylko, zaraz po przybyciu do Łodzi przyjął zaproszenie na wspólny koleżeński wieczór, lecz później stale już odmawiał. Po tamtym wieczorze pozostał mu tylko niesmak i rozczarowanie. Dlaczego? Sam nie wiedział. Po prostu nie odpowiadało mu to.

Koledzy jego rezerwę w odniesieniu do siebie tłumaczyli pychą i wyrobili mu opinię dziwaka i zarozumialca. Wirski wiedział o tym i mocno go to bolało, ale nie starał się nawet usprawiedliwiać, gdyż wiedział, że i tak na nic to by się nie zdało. Odsunął się tylko od wszystkich jeszcze bardziej i spędzał czas samotnie. Towarzystwa kobiet tak samo unikał, poprosotu bał się ich. Nie umiałby nawet znaleźć się odpowiednio, a cóż dopiero czuć swobodnie w ich towarzystwie! Wolny czas spędzał na czytaniu i spacerach.

Czasem jednak samotność gryzła mu duszę. Wtedy uciekał z domu, zaszywał się w tłum ludzi zalewający ulice i chodził, chodził, aż zmęczeniem nie przydusił w sobie tępego bólu i dręczącej świadomości, że jest sam, że nie ma nikogo bliskiego na świecie. Zwykle po takim błądzeniu po mieście, wracał późno w nocy do domu i od razu mocno zasypiał.

Tak samo i dzisiaj szedł w miasto bez celu, byle tylko uciec od samotności. Sam nie wiedział kiedy doszedł do Placu Wolności. Już miał zawrócić, gdy usłyszał obok siebie:

— Przepraszam Pana! Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, gdzie tu jest poczta? Mam pilną depeszę do nadania i nie wiem, w którą zwrócić się stronę.

Ciekawym spojrzeniem obrzucił stojącą przed nim niską blondynkę o jasnych, szczerych oczach i dziecięcej twarzyczce.

— Depeszę? — powtórzył wolno. — Oj, to będzie musiała pani pójść aż na ulicę Przejazd.

— Na ulicę Przejazd — zaśmiała się nagle wesoło. — Ależ ja nie mam pojęcia, gdzie jest ta ulica Przejazd!

Popatrzyła na niego figlarnie, podnosząc główkę, gdyż był o wiele wyższy od niej i poprosiła:

— Czy nie mógłby Pan posłużyć mi za przewodnika i zaprowadzić mnie na tę ulicę?

Wirski zawahał się.

— Ależ z przyjemnością... — zapewniał głosem niezdecydowanym. Stał bezradnie na środku chodnika i nagle dziwnie niezręcznie powiedział, wyciągając rękę!

— W takim razie pozwoli pani, że się przedstawię, Wirski jestem.

— Maliczówna — odpowiedziała, patrząc mu z uśmiechem w oczy i energicznie ściskając jego dłoń.

— No, więc idziemy teraz na pocztę, bo mam doprawdy ważną depeszę. Poszła przodem, Wirski za nią.

Szli wolno Piotrkowską. Wirski jakoś nie wiedział co ma mówić. Przyglądał się tylko ukradkiem towarzyszce. Pomimo, że mało przebywał w towarzystwie kobiet i nie umiał wydawać sądów o ich piękności, musiał przyznać, że ta, która idzie obok niego jest doprawdy bardzo ładna.

Jasne, wijące się włosy, wysokie, gładkie czoło, prosty nosek i świeże, purpurowe usta — wszystko to składało się na miły obraz twarzy. Szczególnie usta, jakieś dziwnie dziecinne, delikatne, a przytem pełne jak u dojrzałej kobiety, zwracały na pierwszy rzut oka uwagę. Wirski sam nie wiedział dlaczego, gdy patrzył na te usta, robiło mu się dziwnie gorąco. Zastanawiał się, ile mogła mieć lat. Chyba jakieś dziewiętnaście — powiedział półgłosem do siebie.

— Co tam Pan mruczy — zagadnęła go ze śmiechem. — Czemu Pan nic nie mówi? A może Pan wstydzi się iść ze mną? — Spojrzała mu zalotnie w oczy.

— Ależ nic podobnego — odpowiedział szybko i uczuł, że się rumieni. — Wprost przeciwnie. Bardzo przyjemnie jest mi w pani towarzystwie.

— O! Dopiero Pan mnie poznał, a już zaczynają się komplementy — zaśmiała się wesoło.

— Co będzie w takim razie dalej — pogroziła mu paluszkiem. Nagle zmieniła temat rozmowy.

— Pan na pewno nie wie, że znam go od dawna. Wiem nawet, gdzie Pan mieszka.

— Ależ tak! — ciągnęła widząc jego zdumioną minę. — spaceruje pan przecież bardzo często, tylko zawsze taki poważny, zamyślony, że nikogo pan nie widzi. Nic dziwnego, że i mnie pan nie zauważył. A ja pana bardzo często widuję — dokończyła, patrząc mu ciepło w oczy i przysuwając się bliżej do niego, tak, że dotykali się teraz ramionami.

— Proszę mnie wziąć pod rękę — poprosiła cichutko. Wsunął jej rękę pod ramię i delikatnie przycisnął do siebie.

— Ech! Proszę mnie silniej trzymać. — Przytuliła się mocno do niego, tak, że wyczuwał na sobie ciepło jej młodego ciała. Przechylając na bok główkę, zaglądała mu kokieteryjnie w oczy.

— Mój Boże! Jaki pan poważny. Pan nie umie śmiać się? — zapytała wesoło.

Wirski, jakby chcąc zaprzeczyć temu, co powiedziała przed chwilą, zaśmiał się tak głośno, aż ludzie obejrzeli się za nim. Zrobiło mu się nagle lekko na duszy i dziwnie beztrosko. Wszystkie zmartwienia, cały smutek, całe jego dotychczasowe szare życie, wszystko to zrosnąło się pod wpływem jej uśmiechu i kilku ciepłych, przez nią wypowiedzianych słów. Sam nie wiedział, kiedy zaczął jej malować swoje dotychczasowe życie, tak smutne i szare. Słuchała uważnie, nie przerywając żadnym słowem i tylko przytulała się miękko do jego boku, jakby chcąc mu wynagrodzić w ten sposób, wszystko zło, które przeżył. Dochodzili do ulicy Przejazd, skręcili i po kilku minutach byli przed pocztą. Wirski z żalem pomyślał, że musi się pożegnać i kto wie, czy zobaczy się jeszcze z tą bajeczną dziewczyną! Drżącym trochę głosem zaczął:

— Przyprowadziłem panią na miejsce — moja rola przewodnika skończona.

— A właśnie, że nie jest skończona! — odparła. — Proszę na mnie chwileczkę poczekać, zaraz wrócę.

Wirski pozostał sam. Zaczął zastanawiać się nad dzisiejszym wieczorem. Pragnął zanalizować swoje dzisiejsze postępowanie i nagłą zmianę usposobienia, lecz czuł dziwny zamęt w głowie; nie mógł po prostu zebrać myśli. Czuł tylko jedno, że całe dotychczasowe, beznadziejne życie zmieni się zupełnie. Tym dniem przełomowym będzie dzień dzisiejszy właśnie. Tego był pewny, a o reszcie nie chciał myśleć.

— O, mój pan znowu z marsem na czole. Musieliśmy o czymś bardzo znowu poważnym myśleć — zakrzyknęła, zbliżając się do niego z uśmiechem.

— No, proszę się rozchmurzyć. Idziemy do parku na spacer.

Skręcili w ulicę Sienkiewicza i za chwilę wchodzili do parku.

Było tu całkiem pusto. Liście na drzewach mokre od niedawnej ulewy, błyszczały w świetle laarni, jak posrebrztane; iskrzyły się poruszane lekkim wiatrem. W powietrzu czuło się zapach zieloności. Kwiaty w klombach, skąpane deszczem, uśmiechały się do wszystkich tęczą kolorów i nęciły zapachem.

Na ścieżkach stały jeszcze kałuże wody.

Wirski z towarzyszką skręcili na lewo, w ocienioną wielkimi drzewami aleję. Było im dziwnie dobrze razem i wesoło. Mówili coś do siebie i śmiali się sami nie wiedząc z czego. Cieszyła ich własna młodość i wzajemna bliskość.

W pewnej chwili ona spoważniała i zatrzymawszy się zapytała:

— Jakież pan ma właściwie imię?

— Bolek — odpowiedział skwapliwie, nie mając pojęcia, dlaczego pyta.

— W takim razie Bolku, proszę pocałować Lutkę — usłyszał i poczuł na szyi dwoje obejmujących go ramion, a przed oczyma ujrzał czerwone, wilgotne usta i przymknięte oczy. Świat zawirował mu przed oczyma ze szczęścia. Objął ją silnie ramionami i wtulił się wargami pieszczotliwie w te dziecinne, świeże i z taką naiwną, niewinną szczerością oddające się mu usta. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Zdawało mu się, że na olbrzymich skrzydłach ulatuje gdzieś daleko, daleko, w jakiś nieznany świat. I czuł tylko na piersiach bicie jej serca.

Tchu im zabrakło. Oderwała usta od jego ust i oparła mu główkę na piersi. Obejmował ją nadal ramionami i rozkochanymi oczyma patrzył na jej główkę. Zdawało mu się teraz, że cały świat winien dla niej zawojować i zdobyć. Ten pierwszy pocałunek miał być dla niego pancerzem, który będzie go chronił przed wszystkimi przeciwnościami życia i który pozwoli mu wywalczyć byt dla siebie i dla tej, którą trzyma w ramionach.

Lutka uniosła głowę i badawczo wpatrzyła mu się w oczy.

— Co ty sobie o mnie pomyślisz, Bolku. Co ty...

Nie pozwolił jej dokończyć. Objął ją mocniej ramionami, przytulił do siebie i tkliwie pocałował w czoło.

— To sobie pomyślę, że cię kocham — odpowiedział poważnie.

Uśmiechnęła się radośnie do niego i podała usta do pocałunku.

— Ja już od dawna cię kocham — szepnęła. Lekko uwolniła się z jego objęć i ujęła pod ramię. — Chodźmy — powiedziała — jest już bardzo późno. Musisz mnie odprowadzić do domu...

— — — — — — — — —

Po powrocie do domu gospodyni podała Wirskiemu depeszę, którą przyniesiono w czasie jego nieobecności. Wirski zdumiony otworzył telegram i uśmiechnął się radośnie. Zawierała ta cudowna depesza tylko trzy słowa:

„Kocham Cię — Lutka". *„Wirryt"*.

Kochana panno Janko!

Bardzo się pani ucieszy, że mnie się tak dobrze powodzi i że wyszłam za mąż za hrabiego. Józef mieszka w farmie „Szczęście i błogosławieństwo Boże“, ale to się na śmiech tylko tak nazywa, bo to szczere bagno i pani sama widzi i każdy człowiek, że tam nie mogłam wytrzymać, bo to taka dziura, a w najbliższym miasteczku Wilsontown nawet kupca nie można było dostać. A więc krótko się sprawiłam i zostałam panią hrabiną i mam tyle kosztowności, że można by nimi zasypać cały Dunaj, a mój mąż, hrabia, ubóstwia mnie.

Szkoda, że pani nie ma pieniędzy na podróż, żeby także tu mogła przyjechać. Zdawałoby się pani, że jesteś w niebie, tak tu ładnie, tylko chleb mi nie smakuje, ale to nic, bo można jeść pierniki. O czym pani donosi wierna przyjaciółka

Zuzia, dawniej żona Mayera.

Po wysłaniu tego listu bawiła się przez cały dzień dobrze, gdyż w hotelu było dużo mężczyzn, którzy jej nadskakiwali.

Wieczorem jednak gospodyni prosiła ją do przyległego pokoju, gdzie ku wielkiemu zdziwieniu i przestrachowi swemu, zastała Zuzia urzędników policyjnych.

Jeden z nich zapytał ją bez ogródek:

— Gdzie ten mężczyzna, w którego towarzystwie obracała się pani przez ostatnie 4 tygodnie?

— Co to pana obchodzi? — spytała Zuzia impertynencko — pan hrabia może sobie być gdzie mu się podoba, a nikt nie ma prawa o to się pytać.

Na słowa „pan hrabia“, żandarm uśmiechnął się ubawiony.

— Wie pani — rzekł — że ten „pan hrabia“, jest takim samym hrabią, jak ten oto — tu wskazał na kelnera hotelowego — cesarzem chińskim. To zwyczajny oszust, były kasjer firmy, którą okradł i uciekł. Nazywa się Albert Fuchs.

— To nieprawda — krzyczała Zuzia blada jak ściana — to kłamstwo!

— Gdziebym ja okłamywał tak piękną damę — pochlebiał żandarm. Nie uwierzy pani, jak ja cenię i wielbię płeć piękną. Czuję zawsze szczególną przyjemność, gdy mogę damie jakiejś się przysłużyć. Pani na przykład dałbym chętnie zarobić sto dolarów. Co? Chce pani? To zależy tylko od pani.

Zuzia nie odpowiadała wcale, tylko płakała bardzo rzewnie.

— Co to pani szkodzi!? — dogadywał żandarm — nie żądamy przecież za to nic, tylko odpowiedzi na kilka pytań. A za sto dolarów może sobie pani kupić tyle ładnych rzeczy.

— Za sto dolarów mam sprzedać wam najdroższego mego, co? — zawołała Zuzia gorzko. — Prędzej bym sobie język dała wyrwać z gardła.

— Damy nawet więcej niż sto dolarów — pochlebiał znowu żandarm — niech nam pani tylko powie, dokąd on uciekł.

— Nie wiem — odpowiedziała Zuzia — ale za kilka dni wróci i wtedy się pokaże, że tu tylko zaszła pomyłka i będzie pan musiał pana hrabiego przeprosić za tę obrazę.

— A jeżeli kochanek pani naprawdę jest hrabią, to przecież nie ma się czego obawiać z naszej strony — odpowiedział na to urzędnik. — Może nam więc pani bezpiecznie podać jego adres i zarobić sobie za to ładną sumkę.



Między innymi uczczono 700-lecie Berlina paleniem na placu królewskim przed Reichstagiem wspaniałych ogni sztucznych.

— Nie chcę judaszowej zapłaty — odpowiedziała Zuzia — co sobie on pomyśli o mnie, jak mu za tyle miłości odpłacę się zdradą. Zresztą, gdybym nawet powiedzieć chciała, to nie potrafię, bo rzeczywiście nie wiem, gdzie on się teraz obraca.

Żandarm byłby nie uwierzył, gdyby przypadek, który jej przyszedł z pomocą.

Okazało się mianowicie, że kelner podsłuchał ostatnią jej rozmowę z kochankiem i teraz z wiadomości tym sposobem zasięgniętych zrobił ten użytek, że dokładnie wszystko opowiedział żandarmowi i urzędnikom policji.

Ci, nie tracąc czasu, zabrali się do natychmiastowej rewizji jego rzeczy, przy czym okazało się, że bielizna jego znaczona jest literami „F. B.“ i koroną hrabiowską.

Kiedy Zuzia z triumfem zwróciła na to ich uwagę, odpowiedzieli, że to jest tylko dowodem jego niezwykłej przebiegłości.

— Jeżeli on naprawdę jest takim — pomyślała Zuzia w obawie o swą własną skórę — to i dobrze, że się stosunek nasz skończył.

Z bardzo lekkim stosunkowo sercem opuściła miasto, w którym była skompromitowana i powędrowała dalej.

Kazała się nazywać panną Zuzią Mayer, potajemnie wzięła rozwód z mężem i szukała teraz wokoło siebie kandydata na męża.

Takich nie brakło.

Było wielu nawet takich, którzy oczarowani jej wdziękami, rzeczywiście byliby się z nią ożenili i popierali swoje konkury hojnymi stosunkowo podarunkami.

Zuzia owe podarunki chowała skrzętnie, ale o zamążpójściu za żadnego z nich nie myślała wcale, gdyż wszyscy oni byli dla niej za mało bogatymi.

Aż pewnego dnia znalazła się w porcie zupełnie bez środków do życia, to jest, bez pieniędzy. Przyparta do muru, postanowiła pierwszego lepszego adoratora rozgrzać tak, żeby się oświadczył i pójść natychmiast za niego.

Ale jakoś się nie wiodło.

Żaden z jej wielbicieli nie miał jakoś ochoty dać jej oprócz serca także i nazwisko.

Zuzia potajemnie płakała w swojej izdebce, ale na dole w gospodzie okazywała zawsze wiele wesołości, swobody i humoru.

Próbowała wreszcie z ciężkim sercem sprzedać swoje klejnoty, które dostała od swego bogatego narzeczonego, hrabiego Bärensprunga. Jakżeż się zdziwiła, gdy jej powiedziano, że to wszystko marne naśladownictwo. Wściekła była na kochanka, że ją oszukiwał i zrozpaczona była, że jej się wysuwa z rąk ostatnia deska ratunku.

Szkoda, że go nie pochwycili tego łotra, tego złodzieja — myślała, zgrzytając zębami — żeby porządnych dam nie oszukiwał.

Ale złość nie zdała się na nic, bo pieniędzy jak nie było, tak nie było.

Raz zdawało się już, że przypadek przychodzi jej z pomocą.

W korytarzu hotelowym spotkała kogoś.

Ale kogo?

Oko w oko stanął przed nią o kilka zaledwie kroków:

Sambo — zbiegły Murzyn.

Ledwie go zobaczyła podskoczyła ku niemu i chwyciwszy go za ramiona, rzekła prędko:

— Albo mi oddasz, łotrze jakiś, wszystkie pieniądze, które ukradłeś mojemu mężowi, albo będę krzyczeć na całe gardło, że jesteś złodziejem i żeby cię aresztowali.

— E, pani nie będzie na tyle niedobrą — odpowiedział chytry Murzyn nie tracąc wcale bystrości — bo ja będę wołał głośno, że pani uciekła od męża.

Tym wytrącił jej ostatnią broń z ręki i w dodatku jeszcze drwił z jej położenia.

— Czemu pani uciekła od swego dobrego męża? — wypytywał ją Murzyn — a do tego w takim poważnym stanie.



Na zdjęciu dawna rezydencja królów duńskich w Kopenhadze, która zostanie zamieniona na laboratorium morskie.

— Czy to widać po mnie, że jestem w błogosławionym stanie? — zapytała Zuzia niewymownie przerażona.

— Ależ naturalnie, ja z daleka już widziałem i poznałem natychmiast — śmiał się z niej Murzyn.

Zuzia zbladła.

Teraz zrozumiała przyczynę oziębłości swoich adoratorów.

Trudno bardzo było im się zdecydować wziąć „pannę" Zuzannę Mayerównę z tak znacząco zeszpeconą figurą.

— Pani najlepiej by uczyniła, gdyby zechciała powrócić do domu swego męża — doradzał jej chytry Murzyn.

— Mój dobry, kochany Sambo — prosiła Murzyna pokornie Zuzia — pożycz mi pieniędzy na drogę, bo gdybym nawet chciała powrócić do mego męża, to nie mam za co.

— Ja jestem bardzo biedny, ja nie mam ani grosza przy sobie — zapewniał ją Sambo — ale pani przecież jesteś bogatą, posiada pani wiele pięknych sukien, z których jedną gdy pani sprzeda, będzie pani miała na podróż.

Nie było rady.

Z ciężkim, bardzo ciężkim sercem zdecydowała się sprzedać złoty zegarek, który miała od jednego z jej byłych adoratorów i zapłaciwszy rachunek hotelowy, miała jeszcze na podróż do najbliższego sąsiedniego miasta.

Tam przedsięwzięła wszelkie ostrożności przeciwko temu, co w dziwne światło stawiało jej panieństwo.

Ściskała się gorsetem tak silnie, że ledwie mogła oddychać, a usunąwszy w ten sposób nieforemny wygląd była z siebie zadowolona.

Ale grzech przeciw naturze mścił się.

Policzki jej się przeciągnęły i zbladły i Zuzia musiała używać różu i tym podobnych środków sztucznego upiększania się.

Tak maskując swój stan prawdziwy, wiodła z dnia na dzień z coraz większą trwogą nędzny swój żywot kokietki, gdy tymczasem w samotnej farmie noc w noc paliła się lampa, na znak, że poczciwy i kochający mąż, oczekuje w cichej tęsknocie powrotu swej niewiernej żony.

ROZDZIAŁ CLXXXI.

Cichy człowiek

Brinkmannowie i Wehlauerowie wybierali się już na zawsze z bagnistej okolicy i usilnie namawiali Mayera, aby z nimi pojechał do Nowego Jorku i tam żądał odszkodowania za swoją krzywdę.

Ale na wszystkie przedstawienia wszystkich razem i każdego z osobna, Mayer odpowiadał zawsze jedno i to samo:

— Nie! Ja zostanę.

Nie chciał się ruszyć z miejsca, bo mu mówił głos wewnętrzny, że pewnego dnia przyjdzie Zuzia, wróci do niego i mogłaby go nie zastać.

Postanowił więc pozostać, prosił tylko mężczyzn, aby mu pomogli sporządzić łódkę, bo droga wodna do Wilsonstown była bliższa i wygodniejsza.

Oni pomogli mu, potem serdecznie się pożegnali i z żonami i dziećmi pojechali w świat.

W pustej, bezludnej, bagnistej okolicy, Mayer został sam, gdyż i Frorenzowie niedawno wybrali się do Nowego Jorku.

Życie wiodło mu się ponuro i jednostajnie.

Z początku miał kilka miłych niespodzianek, gdy zobaczył, że Brinkmannowie i Wehlauerowie zostawili mu worek mąki już zmielonej, kobiety zaś uszyły mu bieliznę itd.

Potem dzień w dzień robił wciąż to samo.

Rano sporządzał sobie śniadanie, karmę dla bydła, robił porządek w mieszkaniu i szedł do lasu. W południe wracał by sobie zrobić obiad i szedł znowu do roboty. Gdy pod wieczór przychodził do domu, zapalał ognisko, przy którym często wpadał w tak głęboką zadumę, że zapomniał przygotować i zjeść.

Jedynym urozmaiceniem były dlań przejażdżki łodzią na Missisipi, w czasie których zarzucał w głąb wody własną ręką uplecione sieci i łowił ryby.

Pewnego wieczora, gdy, jak zwykle z łodzi zarzucił sieć i potem usiłował ją wyciągnąć, zdziwił się, że jest bardzo ciężka.

Jakże się przestraszył, gdy zauważył, że na dnie sieci leży trup.

Ciało było nieduże, jakby dwunastoletniego chłopca, ale broda długa wskazywała, że to człowiek starszy. Był to Malajczyk, karłego wzrostu, odziany jak człowiek niezamożny.

Większa niż trwoga, była litość Mayera.

Wyciągnął trupa na brzeg i zaczął kopać dół dla niego.

— Czy też ma on żonę? — pomyślał sobie, a potem zaraz przyszło mu na myśl, że chociaż to nie chrześcijanin, to zawsze godzi mu się sporządzić trumnę. Rzeczywiście, skoro tylko dół był wykopany, zabrał się do robienia trumny.

Od czasu do czasu odrywał wzrok od roboty i patrzył na topielca, ale natychmiast odwracał głowę ze wstrętem.

A może ma on żonę albo dzieci? — myślał znowu — może będą pytać o niego? Może on ma przy sobie jakieś papiery, które dadzą wyjaśnienie co do tego, kim jest?

Przemógł wstręt i zaczął przeszukiwać ubranie Malajczyka; nic jednak w kieszeniach nie znalazł, prócz kilku mało wartościowych przedmiotów.

Przypomniał sobie jednak, że Malajczycy wartościowe papiery i skarby noszą na gołym ciele i rozpiął mu koszulę.

Rzeczywiście, pod koszulą Malajczyk nosił szeroki pas, w którym widocznie było coś zaszyte. Mayer mechanicznie wyjął nożyk z kieszeni i odpruł kilka szwów.

W pasie były zaszyte kamienie, które miały dziwny blask. Naiwny Mayer ani się domyślał, że to są nieszlifowane diamenty.

Sądził jednak, że w każdym razie szkoda to zakopywać do ziemi, że ktoś z rodziny Malajczyka może się kiedyś zgłosić i postanowił pas ten cały zabrać z sobą do chaty.

Do białego rana pracował nad trumną, potem złożył w niej na świeżych gałęziach trupa topielca, zamknął, wsunął do grobu i zasypał ziemią.

Potem zbił niekształtny krzyż, który wetknął w grób, ukląkł, pomodlił się i poszedł do domu.

Tam zaszył grubą nicią odprute szwy owego paska i włożył go na dno skrzyni, po czym położył się spać i zmęczony prędko zasnął.

Śniło mu się, jak piękną kochaną Zuzię wiedzie do ślubu i jak szczęśliwy żywot obiecuje sobie z nią pędzić.

Jakże daleki był ten sen od rzeczywistości!

Ona tak daleko od niego — niewierna — nie przeczuwała, że gdyby była przy nim, byłaby osiągnęła szczyt swoich marzeń. Na dnie skrzyni bowiem spoczywały u niego brylanty nieocenionej wartości.

ROZDZIAŁ CLXXXII.

W pięknym ciele brzydka dusza

Po dokonanej zbrodni, wybiegła Cyganka z palącego się domu, unosząc ze sobą skradzione pieniądze, które ukryła starannie za gorsem, tuż obok szybko bijącego serca.

Nie wróciła do Felseg, lecz schowała się na wzgórzu, za grupą drzew iglastych.

Tu w tym schowku była pewną, że ją nikt nie zobaczy i mogła bezpiecznie przypatrywać się pięknemu a zarazem smutnemu widowisku, jakie daje duży pożar w nocy.

Nienawidziła ona Herbertów, bo byli przypuszczalnymi rodzicami Sylwii, i triumfowała na myśl, że spowodowała nędzę tych poczciwych ludzi.

Ilekroć nowy snop ognisty wystrzelił ku niebu, klaskała Cyganka w dłonie z dzikiej, demonicznej radości.

Gdy zaś ogień objął już stodoły i stajnie, zaczęła śmiać się i szaleć jak menada.

Wszystko już jest pastwą płomieni! — wołała. — Całe niebo jest czerwone, ha, ha! wszystko się wali, co sobie Herbertowie w ciągu swego długiego i pracowitego życia uzbierali. Teraz są prawdziwymi żebrakami.

Wtem ozwał się dzwonek pożarny.

Ilona zacisnęła pięści i wyciągnęła je groźnie w kierunku skąd ją bicie dzwonu dochodziło.

— Niech nie mają pomocy! — krzyczała ze złością. — Niech giną nędznie! Ha, ha! Sosny stojące tuż za domem, stoją jak kolumny ogniste. Jak to wspaniale wygląda!

Cieszyła się tym ogniem jak drugi Neron podczas pożaru Rzymu!

Nie czuła zimna, ani znużenia i mogła była tak stać i przypatrywać się bez końca. Nie wiedziała sama, jak długo przesiedziała w tym schowku i nie czuła nawet ostrego wiatru i białych płatów śniegu, spadających na czarne jej włosy i ubranie.

Dopiero, gdy łuna się zmniejszyła i tylko słupy dymu wydobywały się z pogorzeliska, opuściła Cyganka swój schowek i zwróciła się w stronę Felseg.

Miała taką chęć podzielenia się z kimś swą dziką radością, iż postanowiła obudzić więźnia i wypowiedzieć się przed nim.

Bez względu na to, że mu przerwie sen, pobiegła Ilona do pokoju, z którego można się było dostać do podziemia.

Werner nie spał. Do północy zajęty był wyjmowaniem jednej z płyt pokrywających podłogę, a czynił to przy świetle, które Ilona przed kilku dniami u niego zostawiła.

Dopiero gdy świeczka zagasła, położył się hrabia i zasnął snem sprawiedliwych.

Jaskrawe światło, które niosła Cyganka, obudziło nieszczęśliwego. Zerwał się ze swego łoża i krzyknął:

— Co się stało? Skąd się tu wzięłaś?

— O, stało się wielkie nieszczęście! — odpowiedziała Ilona z udanym żalem. — Proszę sobie pomyśleć, że spaliła się leśniczówka!

— A czy Herbertowie ocaleli? — zapytał hrabia drżącym głosem.

— Tego nie wiem — odparła Cyganka — wiem tylko to, że był ogromny ogień, który obrócił wszystko w popiół.

— Kiedy ogień wybuchł? — zapytał hrabia, który powziął natychmiast podejrzenie, że to Ilona podpaliła.

— Około jedenastej — odpowiedziała Cyganka — i to równocześnie z czterech stron.

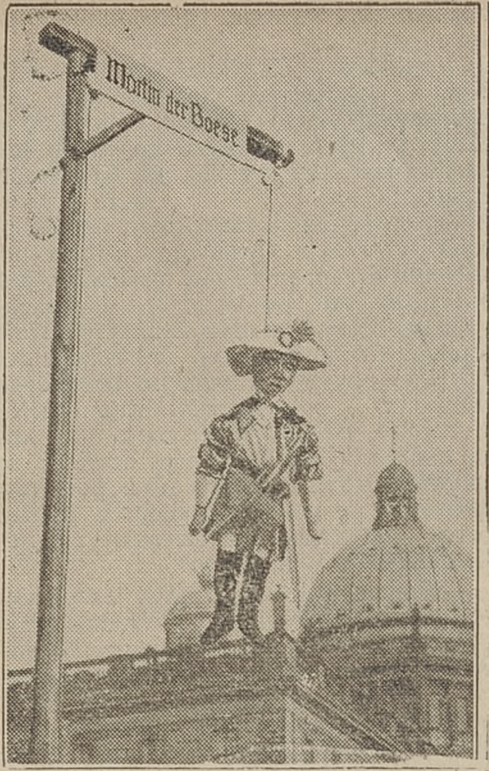
— Był więc podłożony — mruknął hrabia Werner.

— Możliwe — odparła Ilona — bo leśniczy jest wysoko zaasekurowany, pewno sam podpalił. Jest on w ciągłych tarapatach pieniężnych, tak, że już nawet część swego mienia sprzedał. Ale daremny był jego trud, bo Towarzystwo „Turyngia" pewno mu ani grosza nie wypłaci.

— Oczerniasz poczciwego Herberta — odparł hrabia Wildenstein pogardliwie, ale oszczerstwa twe na nic się nie zdadzą. Jeżeli ogień rzeczywiście był podłożony, to podłożyłaś go ty!

— Panie hrabio! — krzyknęła Ilona obrażona — to pan mnie oczernia. Jakżeż mogłam podpalić leśniczówkę, kiedy nie oddaliłam się ani na chwilę z zamku?

— Tego nie wiem — odpowiedział hrabia Wildenstein. — Przeciwnie, jestem prawie pewien, że byłaś gdzieś w pobliżu ognia, bo jakżebyś inaczej tak do-





Oto jeszcze jeden obrazek z dowcipnych i pomysłowych imprez, urządzanych w Berlinie z racji 700-lecia.

brze o wszystkim wiedzieć mogła? Znasz przecież wszystkie szczegóły. Wiesz kiedy pożar wybuchł...

— Widziałam to stąd! — krzyknęła Ilona.

— To jest niemożliwe — sprzeciwił jej się Werner — nie mogłabyś tak dobrze o wszystkim wiedzieć, gdybyś sama nie była ognia podkładała. Zdradziłaś się!

— Pan zawsze najgorzej o mnie myśli! — skarżyła się Cyganka.

— Mam powody — odpowiedział hrabia — bo znam cię niestety z nie bardzo dobrej strony!

— Jest w tym dużo złej woli pana, bo pan zawsze podsuwa najgorsze pobudki nawet najszlachetniejszym moim czynom — narzekała Ilona — i najczystsze źródło mętnieje, gdy się doń kamienie rzuca.

— Nie zadawaj sobie trudu i nie uniewinniaj się — przerwał jej pogardliwie hrabia. — Przeniknąłem cię do głębi i jestem mocno przekonany, że to ty podrzuciłaś ogień pod leśniczówkę.

Co za szczęście, że mojej kochanej narzeczonej tam nie było! Mam nadzieję, że Herbertowie uszli z życiem; jeśli zaś nie, to ty jesteś ich zabójczynią!

Ilona broniła się i perswadowała hrabiemu jak mogła, zapewniając go o swej niewinności, ale wszystkie jej perswazje nie czyniły na Wernerze najmniejszego wrażenia.

Wreszcie wyszła Cyganka z więzienia wściekła, że ją hrabia tak przeniknął.

Tej nocy mieszkańcy zamku Felseg nie spali.

Ilona przechadzała się dużymi krokami po kuchni.

Przeklinała i wymyślała okropnie.

Potem padła na ziemię, szlochała i jęczała jak szalona. Pierś jej falowała szybko, a nozdrza drżały gwałtownie.

— On mnie nienawidzi! On mną pogardza! — skarżyła się. — O, gdybym mogła umrzeć! Cóż mi po życiu, kiedy jedyny mężczyzna, którego bym mogła kochać, wynagradza mi tę miłość nienawiścią i lekceważeniem.

Gdybym była różą, zginęłabym szczęśliwie zdeptana jego nogami. Gdybym była aniołem, zrzekłabym się nieba i jego uciech, aby tylko ukochanemu móc służyć jako prosta dziewka, a życzliwe spojrzenie jego byłoby mi najhojniejszą zapłatą. Ale niestety, nie jestem ani różą, ani aniołem tylko biedną, grzeszną kobietą... Cóż mu mogę dać, kiedy moja piękność go nie pociąga, kiedy miłość mą nogami depce?

Płakała długo i boleśnie.

Wreszcie odgarnęła dzikim ruchem długie czarne swe włosy znad czoła i mruknęła:

— Każdy sam jest sprawcą swego szczęścia. Muszę zdobyć swe szczęście wszystkim na złość, ale, aby to osiągnąć trzeba działać, a nie oddawać się czczemu żalowi.

Podczas tych rozmyślań wyciągnęła z zanadrza skórzany portfel, w którym znajdowały się skradzione banknoty i zaczęła z nich odliczać swoją zapłatę 6.000 złotych.

Potem spakowała resztę pieniędzy starannie i schowała portfel w worek z grochem w przypuszczeniu, że tu nikt ich szukać nie będzie.

Wyraz bezgranicznej rozpaczy, który przedtem widniał na jej twarzy, znikł zupełnie i ustąpił miejsca jakiejś ponurej rezolutności.

Rzuciła się na łóżko kasztelana i przymknęła oczy, próbując zasnąć. Była jednak tak wzburzona, że przez całą noc oka nie zmrużyła i nad ranem wstała bardziej jeszcze znużona niż wtedy, gdy się położyła.

Umyła się w zimnej wodzie źródlanej, uczesała, zgrabnie ułożywszy krucze swe sploty w koronę nad czołem, ubrała się odświętnie i poszła do stajni wydoić kozy.

Potem zrobiła spiesznie śniadanie i zaniosła je Wernerowi. Spieszyła się, bo każdej chwili oczekiwała przybycia barona Sturmfedera.

Rzeczywiście usłyszała wkrótce tętent kopyt końskich i zobaczyła zdaleka barona Egona na koniu.

— Ach! — szydziła Cyganka — ten śpioch wcześnie się dziś zerwał. Pewnie dla 30.000 zł warto poświęcić kilka godzin snu!

Nie wyszła jednak naprzeciw barona,

— Niech sobie sam zaprowadzi konia do stajni — mruknęła — nie jestem jego koniuszym!

Ponieważ Ilona nie wychodziła, musiał baron Egon zdjąć pychę z serca i sam ulokować swego wierzchowca. Czyniąc to, gderał i przeklinał.

Potem zbliżył się do okna kuchennego i uderzył weń szpicrutą.

Ilona zerwała się, udając ogromne zdziwienie i zawołała:

— Ach, co za niespodzianka. Pan baron przybywa tu o tak wczesnej godzinie? Natychmiast będę panu baronowi służyć.

Mówiąc to, otworzyła drzwi wchodowe i wpuściła barona. Ledwie baron wszedł, zapytała go młoda Cyganka:

— Czy starzy uszli z życiem?

— Tak jest — odpowiedział baron szorstko — liche nie zginie. Tylko stara Katarzyna umarła z ran, które odniosła przy pożarze.

— Ta nigdy mi nic złego w życiu nie uczyniła — rzekła Ilona ponurym głosem — niechby była przy życiu.

— Co mnie tam może obchodzić ta stara służąca?! — ofuknął się baron Egon Sturmfeder — czy masz pieniądze.

— Czy chcesz mnie wciągnąć w zasadzkę, Ilono? — zapytał podejrzliwie baron. — Nie udałoby ci się to, bo mam przy sobie nabity rewolwer, a w dodatku ostry sztylet.

— Jakbym pana chciała zamordować, to inaczejbym się do tego zabrała — odpowiedziała chłodno Cyganka — ale nie mam tak złych zamiarów. Niech się pan niczego nie boi i odważnie wejdzie ze mną do wnętrza domu.

Mówiła to z taką szczerością, że baron jej uwierzył i wszedł za nią do kuchni.

Przy odblasku palącego się pod kuchnią ognia popatrzył baron raz jeszcze badawczo na Cygankę, jak gdyby z jej twarzy chciał wyczytać, czy naprawdę nie ma żadnych złych zamiarów względem niego. Potem zapytał niecierpliwie:

— Gdzie są pieniądze?

Cyganka wyciągnęła portfel z zanadrza i podała go baronowi w milczeniu. Egon otworzył go chciwie i zaczął liczyć pośpiesznie banknoty.

— Do kroćset tysięcy diabłów! — krzyknął wreszcie gniewnie — przecież tu brakuje 6000 złotych. Oszukałaś mnie nędznico.

— Wcale nie — spokojnie odparła Cyganka — zapobiegłam tylko temu, aby pan mnie nie mógł oszukać, i wzięłam sobie z góry obiecaną nagrodę.

— Ależ mnie te pieniądze są koniecznie potrzebne — oburzył się baron — miałem najszczerszy zamiar dać ci obiecaną nagrodę, ale nie teraz, bo teraz są mi niezbędne te pieniądze. Tyś mogła przecież trochę poczekać.

— Na świętego „nigdy“? — drwiła sobie Ilona. — Nie, panie baronie. Wolę wróbla w garści, niż kanarka na dachu.

— No, to pożycz mi te pieniądze na krótki czas — prosił ją Egon — wiesz, przecież, że i majętni ludzie znajdują się czasem w kłopotach pieniężnych. Oddałbym ci z dużym procentem.

Żartuje pan, panie baronie — droczyła się z nim Cyganka — przecież pan by się tak dalece nie poniżał, aby zapożyczać się u biednej Cyganki. Ale chociażby mi pan chciał naprawdę ten zaszczyt uczynić i pożyczyć u mnie tych parę groszy, to nie mogłabym z tego honoru korzystać, bo nie mam już pieniędzy przy sobie. Z obawy, aby mnie nie przyłapano, dałam te banknoty jednemu ze swych współwyznawców, który o północy wyjechał pospiesznym pociągiem do Wiednia i tam papiery te spieniężył.

— Szalona — krzyknął baron przerażony — jak mogłaś popełnić taką nieostrożność? Tego Cygana z pewnością złapią i wtrącą do więzienia, a gdy mu bardzo dokuczą, przyzna się do wszystkiego.

— To się pan bardzo myli, panie baronie — rzekła Cyganka. — Giacomo, któremu dałam pieniądze, przebrany jest po europejsku, jest przy tym elegancki i ma maniery, jak jaki hrabia. Jak się wystroi, to się powinien był ucharakteryzować, aby być podobnym do starego Herberta — odpowiedział baron niezadowolony. Byłoby to dla mnie z ogromną korzyścią, gdybym mógł dowieść, że człowiek bardzo do Herberta podobny, spieniężał po pożarze papiery w jakimś banku. Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś o tym, Ilono?

— Pan mi także nie mówi wszystkiego — odcięła się Ilona. — Wreszcie nie byłoby to panu dużo pomogło, bo pół wsi widziało starego Herberta jeszcze po północy przy ogniu, a zatem długo po odejściu pospiesznego pociągu. Było by się więc w danym razie mógł łatwo wykazać, że był on o tej porze przy ogniu, a nie we Wiedniu.

— To prawda, jesteś bystra, dziewczyno — pochwalił ją Egon.

— Moja nienawiść jest w każdym razie większa, niż mój rozum — rzekła Cyganka z błyskiem w oczach — chciałabym wytępić cały ten ród jaszczurczy i postaram się o to, aby Herbertowie ani grosza do rąk nie dostali. Panie baronie, niech mi pan podyktuje list do towarzystwa asekuracyjnego „Turyngii“, w którym leśniczy był asekurowany. Treść ma być ta, że stary Herbert otaksował o wiele wyżej, niż było warte, i że potajemnie wysprzedał bydło i sprzęty, gdyż z powodu lekkomyślnego życia, zadłużony jest po uszy. Gdy list ten otrzymają, wyślą czym prędzej swego ajenta do Königswalden po bliższe informacje. Wtedy damy mu takie dowody winy leśniczego Herberta, że o niej jak najmocniej się przekonają.

— Ty jesteś nieoceniona ze swymi pomysłami — zawołał baron zachwycony — daj się uściskać, dziewczyno.

Oho, jeszcześmy nie doszli tak daleko, panie baronie — rzekła Ilona chłodno — niech mi pan najpierw podyktuje list.

— Czy masz tu jakie przybory do pisania? — zapytał baron.

— Daj mi pan kartkę ze swego notesu, to zupełnie wystarczy — odpowiedziała młoda Cyganka — pióro zatemperuję sobie scyzorykiem, a atrament zrobię zaraz z octu i orzechów.

— Dziwię się, skąd ty umiesz pisać? — zapytał się baron — a ja myślałem zawsze, że Cyganie niczego się nie uczą.

— Dlaczegoby nie — szydziła Ilona — zaraz panu dowiodę, że i my się czegoś uczymy.

Ku wielkiemu zdziwieniu barona przemówiła Cyganka do niego po francusku, potem po hiszpańsku, a wreszcie po indyjsku.

— No i cóż? Czy doprawdy nic nie umiem? — zapytała dumnie. — A teraz zobaczy pan, jak ładnie umiem pisać.

Mówiąc to, zatemperowała sobie zgrabnie pióro i sporządziła atrament.

Baron wydarł kartkę ze swego notesa i podyktował pięknej, lecz przewrotnej swej wspólniczce list do towarzystwa ubezpieczeń „Turyngii“. Oczernił on w nim biednego Herberta jak tylko mógł i kłamał bezczelnie.

Ilona zaś przewyższała go jeszcze w złośliwości i podstępie. Dodawała zawsze coś, co jeszcze bardziej kompromitowało Herberta, a kłamstwa umiała tak zręcznie zmyślać i tak chytrze wypowiadać, że baron patrzał na nią ze szczerym, niekłamanym podziwem.

— Ty jesteś najmądrzejszą diablicą, którą kiedykolwiek spotkałem — śmiał się baron — na Boga świętego, ty jesteś tysiąc razy niebezpieczniejsza, niż każdy zły człowiek.

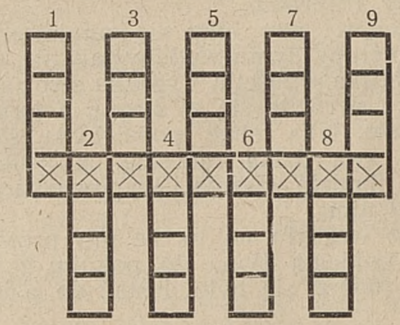
— Dlaczego jestem niebezpieczniejszą niż ludzie najgorszego pokroju? — zapytała młoda Cyganka ponuro.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Podwójny grzebień

Ul. Mieczysław Grzegorski z Sosnowca.



Wpisać dziewięć wyrazów czteroliterowych tak, aby rząd, oznaczony krzyżykami dał nazwisko wielkiego bohatera i wojownika polskiego. Znaczenie wyrazów: 1) inaczej chwyć, 2) imię żeńskie, 3) inaczej posiadał, 4) imię starożytnej królowej, 5) zdrobniałe imię żeńskie, 6) inaczej zarozumiałość, 7) imię męskie, 8) inaczej władca, 9) inaczej ściga.

Tajemniczy adres

W. P.
O. Gabryel Opoń
Triest—Jawa—Żnin

Odczytać nazwę znanej organizacji państwowej.

Bilet wizytowy

Alina Janos
Mińsk

Odczytać imię i nazwisko słynnej artystki — tancerki.

Podwójny adres

Leon Sawan — Lipsk
E. C. Egodis — Ryga

Odczytać imię i nazwisko znakomitego muzyka — kompozytora oraz miejsce jego zamieszkania.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do środy, dn. 8 września 1937 r.

Rozwiązanie zadań z numeru 34 „Moich Powieści“: Rozsypanka sylabowa: Czytajcie „Moje Powieści“. Bilety wizytowe: 1) Milioner. 2) Władysław. 3) Kazimierz.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Siemianowski Bogdan — Mogilno, Słupska Lidia — Wielbark, Terzyk St. — Żnin, Sobocińska Z. Bydgoszcz, Szulc Wacław — Pakość, Bielak Zygmunt — Żnin, Bolska Zofia — Poznań, Wiśniewski M. — Bydgoszcz.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Siemianowskiemu z Mogilna i Szulcowi z Pakości.

FLAVIA STENO.

7)

Nauczycielka

20 październik.

Herbert przyniósł mi dzisiaj rano spis gości, abym napisała do nich. Byłam trochę zdziwiona, widząc między innymi, nazwisko Jerzego Lionel. Popatrzyłam na męża pytająco.

— Zaprosiłeś go?

— Czy on ci się nie podoba?

— Nie, tylko myślałam, że tobie on się zbytnio nie podoba.

— Istotnie — rzekł mi bardzo blady. — Ale jest moim kuzynem!.

— Może nie przyjedzie — rzuciłam.

— Myślisz?

— Nie wiem nic, wyrażam tylko moje pragnienie.

Milczeliśmy chwilę oboje.

— Dlaczego on ci się nie podoba, Jane? — spytał nagle mój mąż, biorąc mnie za ręce. I patrzył na mnie tak niespokojnym wzrokiem, że mimowoli zmieszałam się, jakbym się czuła winną.

— Nie wiem, Herbercie. On zawsze budził we mnie instyktowną antypatię.

— Czy zawsze? — spytał znów, jakby podejrzliwie.

— Tak — powtórzyłam, patrząc na niego spokojnie.

Musiał wyczytać w moim wzroku całą prawdę, gdyż przyciągnął mnie do piersi, pocałował łagodnie w czoło, jakgdyby błogosławiąc mnie.

21 październik.

Lorenzo zachorował; podróż do Londynu i zmiana życia wstrząsnęła trochę jego delikatnym organizmem. Doktór Burns zalecił absolutny spokój.

Ten biedny chłopak stał się tak wrażliwy i tak nerwowy, że wystarczy najmniejsze wzruszenie, by go wtrącić w chorobę.

Bardziej wzruszający epizod w książce, cień smutku, który dostrzeże na mojej twarzy, najmniejsze sprzeciwienie mu się...

Przyjazd naszych gości na pewno nie zrobi mu dobrze; on jeszcze bardziej niż ja, odczuwa potrzebę ciszy i spokoju.

Przepędzam z nim długie godziny, ale nie jest to już ten sam Lorenzo, co dawniej, wydaje się, że moje towarzystwo sprawia mu mniej przyjemności: dlaczego? Jednak, gdy mnie widzi zbliżającą się, jego oczy rozjaśniają się radością...

Tylko nie otwiera już przde mną, jak dawniej, swojej chorej duszy: nie ma już do mnie tego zaufania, nie traktuje mnie tak po koleżeńsku, jak dawniej.

Zapytałam go o to: Odpowiedział mi, uśmiechając się:

— To dlatego, że teraz nie jesteś już całkiem moja.

— A czyją jestem, Lorenzo?

— Papy.

— Ależ właśnie dlatego jestem jeszcze więcej twoja; nie jestem może twoją mamą?

— Tak, ale to już nie jest to samo!

Biedny, nieszczęśliwy chłopiec!

25 październik.

Dziś wieczór przyjechał lord Dudley; ten wierny przyjaciel mego męża przybył pierwszy i jestem zadowolona, że przez kilka dni jeszcze będziemy go mieć dla siebie, zanim przyjazd reszty gości zamknie i ścieśni do granic konwencjonalnej uprzejmości szczerą i głęboką przyjaźń, jaka nas z nim wiąże.

Biedny stary! uścisnął mnie, płacząc z radości i rzekł, że jest ogromnie szczęśliwy, widząc mnie na mym właściwym miejscu.

On jest jak dobry ojciec i nie wiem, dlaczego wydaje mi się, że mam w nim opiekę i oparcie.

Baby rozerwała mu już łańcuch od zegarka i wytargała go za wąsy niezliczoną ilość razy; ale on się z tego cieszy i nic mu nie przeszkadza, że mała słodziutkim głosikiem woła na niego: lod Dully!

Chciałabym, by nasze miłe zaciszne życie trwało zawsze: tak piękne były te długie wieczory jesienne w ciszy oświetlonego jasno salonu, podczas, gdy na zewnątrz, na wsi okrytej ciemnością, pada drobny, gęsty deszcz!

Mój mąż i lord Dudley rozmawialiby paląc przed kominkiem, na stole dymiłaby wonna herbata, Baby i Daisy budowałyby pałace i domki z małych, lakierowanych kostek drewnianych, a ja grałabym i śpiewała dla Lorenza moich starych mistrzów włoskich!

I Lorenzo powiedziałby wówczas, że znów jestem całkiem jego. Ja odżyłabym w słodkiej, ukochanej muzyce mej dalekiej ojczyzny; a obudziwszy się z świetlanych snów mej przeszłości, znalazłabym już nie smutek i samotność, jak dawniej, ale rączki mych aniołków, wyciągnięte ku mnie, ale usta mego męża, gotowe do krzepiącego pocałunku, ale całą obecną rzeczywistość, pogodną i spokojną, prawdziwe błogosławieństwo Boże! Dlaczego nie może tak być zawsze?

28 październik.

Przyjechali lord i lady Campbell, Mr. i Mrs. Whits, Lady Moore ze swą córeczką Essie i sir Tomasz Blind.

Tyle ludzi! Wszyscy ogromnie grzeczni i bardzo mili, ale zawsze jest to niewola dla Herberta i dla mnie.

Ze wszystkich, lady Campbell jedynie jest moją przyjaciółką. Była ona również przyjaciółką biednej Cecylii i widziałam, jak oboje z moim mężem rozmawiali o niej bardzo wzruszeni.

Mr. Whits jest majorem przy wojsku; nosi swój mundur bardzo dobrze i mówią, że się nim bardzo chlubi, jego żona jest miłym dzieckiem, bardzo młodym i bardzo delikatnym i zawsze w obawie czy się nie naprzykrza. Jest strasznie zakochana w swym mężu i uśmiecha się uszczęśliwiona, gdy on stanie przy niej. Wogóle miła para: prostą i dobra, z którą na pewno będę się zawsze dobrze czuła.

Również lord i lady Campbell nie sprawiają mi przykrości; ona jest dla mnie jak matka i mogłaby być mi matką z wieku i z rozsądku. Daisy nazywa ją swoją grand'maman, na sposób francuski, a ona uśmiecha się i wydaje się uszczęśliwiona tą nazwą.

Lady Moore nie bardzo mi się podoba; Herbert zaprosił ją, gdyż jest siostrzenicą lorda Campbell i wdową po jednym z jego najbliższych przyjaciół. Mówią o niej, że jest bardzo piękna i jest nią istotnie, ale pięknością rzeźbiarską i niemą, której brak całkowicie duszy. Albo raczej, całą duszę ma ona w oczach, które są bardzo żywe, ale złe, doprawdy złe. Ja nie wiem, co tam jest wewnątrz nich, ale na pewno jest coś, co mi każe mieć się na baczności i nie pozwala okazać jej takiej grzeczności, jaka jest moim obowiązkiem. To darmo, ja już taka jestem: jeżeli serce nie bierze w czym udziału, nie potrafię okazać się bardzo uprzejmą; trzeba,

ażeby osoby, które nazywam drogimi, były mi naprawdę drogie, w przeciwnym razie nie umiem udawać. Sir Tomasz Blind jest dobrym chłopcem: tęgi typ anglosaksoński; różowy blondyn, wysoki, barczysty, i bardzo silny, Wygląda na bardzo szczerego i prostego. Jedyną jego słabością jest może chęć robienia dandy, co czyni go śmiesznym i przesadnym. Ale gdy jest sobą — co zdarza się zawsze, ilekroć nie stara się specjalnie komuś podobać — staje się bardzo miłym i cennym towarzyszem, gdyż jest wesoły, szczery i przede wszystkim dobry.

1 listopad.

Dzisiaj rano mężczyźni uroczyście rozpoczęli polowanie; sir Tomasz wrócił z torbą pełną przepiórek, co wywołało ogólne gratulacje. Dobry chłopiec był czerwony z radości i nie wiedział jak dziękować. Herbert również miał szczęście i w ogóle wszyscy z wyjątkiem lorda Campbell, który ze względu na swój czcigodny wiek nie bierze już udziału w tych rozrywkach. Jestem mu za to wdzięczna, gdyż przynajmniej on pomaga mi zabawić te panie. Jednak nie zabierają mi wiele czasu; gorzej było, gdy byli sami mężczyźni; teraz przynajmniej te eleganckie damy wysilają się same, by zabijać czas. Mają wiele stosunków i wspólnych znajomych w Londynie; tutaj, nie mając nic innego do roboty, robią ich przegląd, plotkując trochę. Zresztą są bardzo grzeczne i miłe i wydają się zawsze zadowolone ze wszystkiego. Muszę jednak zrobić wyjątek dla lady Moore! Ach, ta usiłuje zmiażdżyć wszystkich wyższością swej urody i elegancji! Gdyż ona jest najelegantsza! Podczas gdy my nosimy bardzo skromne suknie sezonowe, ona stroi się we wspaniałe toalety. które przywiozła ze sobą w pół tuzinie kufrów! Zmienia suknie ze cztery razy na dzień; ubiera i rozbiera dziewczynkę, jak laleczkę, z takim bogactwem ozdób, że odbiera przybraniem tę elegancję i tę specjalną dystynkcję, którą jedynie prostota może nadać.

I dziewczynka wstępuje w ślady matki: staje się ambitna, próżna, pogardliwa i plotkarska. Nie podoba mi się trochę to towarzystwo dla mojej Daisy; ale jakżeż ją mam odsunąć? Są prawie w jednym wieku, nawet Daisy ma teraz dwanaście lat, a Essie tylko dziesięć; gardzi jednak lalkami, nudzi się z Baby, rozmawia i chodzi jak wielka dama w miniaturze i pozuje doskonale, jak matka. Szczęście, że Daisy jest tak prosta i dziecinna, iż nawet tego nie spostrzega! Ma tylko wielki szacunek dla pięknych sukienek Essie, dla jej bucików na obcasie a la Ludwik XIV i dla jej koafiury, jak u dorosłej...

Ja mówię jej tylko:

— Essie jest bardzo rozsądna; jest zawsze dobrze ułożona i nie niszczy wszystkiego, jak ty!

I to ją przekonuje: całuje mnie i przyrzeka, że stanie się niedługo tak rozsądna, jak Essie. Oby Bóg zachował cię zawsze taką, jaką jesteś teraz!

5 listopad.

Musiałam opuścić salon, by uśpić Baby, która była bardzo niespokojna; ona teraz nie chce słyszeć więcej o Mardze i gdy się ją niesie wieczór do łóżka, wrzeszczy a wrzeszczy, dopóki nie zejdzie mamusia, żeby ją skrzyczeć trochę!

Podczas gdy piszę, ona patrzy na mnie ze swego łóżeczka wielkimi szafirowymi oczkami, szeroko otwartymi, w których drży jeszcze łezka. Z salonu dochodzą mnie dźwięki fortepianu i miły, ciepły timbre świetnego barytonowego głosu. Sądzę, że to mała mistress Whits akompaniuje swemu mężowi. Ta kochana kobietka jest ogromnie szczęśliwa, gdy może dać nam poznać piękny głos swego Maurycego. Jest bardzo ciekawą rzeczą, obserwowanie jej w ciągu dnia, gdy mąż jest na polowaniu. Niecierpliwa i rozgorączkowana, nie wie, co ma robić ze sobą, wychodzi na taras i wraca dziesięć razy na godzinę, potem, gdy róg oznajmi zdaleka powrót myśliwych, drży i rumieni się, jak dziewczynka,

Jakie to szczęście kochać się jeszcze tak płomiennie po ośmiu latach małżeństwa!

8 listopad.

Ach, co za smutna wiadomość! Herbert przyniósł mi dziś rano krótki bilecik sir Jerzego, który oznajmia swój rychły przyjazd. Jestem niespokojna, zdenerwowana, poirytowana... Dlaczego przybywa, by mącić nasz spokój!

9 listopad.

Ostatecznie, dlaczego miałabym być niespokojna? czyż nie mam męża, aby mnie osłaniał? Nie mam mojej cnoty i mej miłości, by mnie broniły? A zresztą, kto mówi, że on myśli jeszcze o mnie? Nie jestem już bieną miss Jane, którą mógł uważać za łatwą zdobycz; na pewno rok musiał być aż nadto wystarczającym, by wybić mu z głowy i z serca ten kaprys, jaki mógł mieć dla mnie przez moment! Lady Campbell mówi, że przybywa on dla lady Moore; zdaje się, że ją bardzo emablował ubiegłego lata.

Lepiej, że tak jest. Musi to być nawet prawdą, bo, gdy tego wieczoru przy stole Herbert oznajmił jego przybycie, widziałam, że lady Moore zarumieniła się żywo i pochyliła do córeczki, by pokryć wzruszenie.

Zaczynam oddychać. Lord Dudley i sir Tomasz Blind przyjęli to oznajmienie bardzo zimno, a to dla tego, że sir Tomasz adoruje okrutnie lady Moore i na pewno nie może życzliwym okiem patrzeć na swego rywala.

Naiwna mistress Whits wykrzyknęła głośno:

— Ach! Piękny sir Lionel!

Wszyscy dokoła wybuchnęli śmiechem, podczas gdy ona, ogromnie zdziwiona, patrzyła na męża, jakby pytając go, czy powiedziała jakie głupstwo. Major potrząsnął głową, uśmiechając się:

— Dzieciak! — rzekł do niej bardzo łagodnie.

A drogi dzieciak zarumienił się z radości. Mam dużo sympatji dla tej kobietki, tak naiwnej, prostej i dobrej, która ma tak głębokie i szczere uwielbienie dla swego męża, która tęskni, gdy ją z nim rozdzielą choćby na godzinę tylko, która szuka go, jak ojca i pyta spojrzeniem o wszystko, nawet o to, jaki kawałek ma sobie wybrać przy stole!.... Niech ich Bóg błogosławi!....

10 listopad.

Sir Jerzy przybył dziś wieczór, a później Lorenzo dostał ataku nerwowego.

— Dlaczego pozwoliłaś mu przyjechać! — zapytał prawie szorstko, gdy pochyliłam się nad nim, by go pocałować.

Boże, Boże! zaczynają się cierpienia? Przez litość nie zsyłaj na mnie podobnego cierpienia!

Sir Jerzy Lionel do Edwarda Barth.

Lynn-Castle 15 listopad.

Wróciłem tutaj! to darmo: wszystkie twoje rady są rozumne i dobre, ale czy można kazać rozumować sercu?

Nie uchybię na pewno moim obowiązkom szlachcica: wiem, co winienem mojemu kuzynowi, a zwłaszcza lady St. John, ale wiem także, że nie mogłem dłużej żyć, nie widząc jej, a dzisiaj wiem również, że nie mogę widzieć jej, nie uwielbiając!...

Ach, gdybyś znał piekło, jakie zrodziła w mym sercu ta kobieta!... Powiedz mi więc ty, co ona ma tak szczególnego w oczach i w głosie, że wstrząsa mymi najtajniejszymi fibrami, gdy mówi do mnie, nawet przy wszystkich! Gdyż ona nie mówi do mnie nigdy inaczej, tylko w obecności swego męża i wszystkich gości: i chociaż udaje, że mnie nie dostrzega, wiem dobrze, że stara się wszelkimi siłami uniknąć znalezienia się sam na sam ze mną. Jestem jej zresztą wdzięczny za to: sądzę, że gdybym ją spotkał samą, nie mógłbym się powstrzymać, by nie wziąć jej w ramiona i nie wykrzyczeć jej całego udręczenia, jakie mi sprawia i nie zmusić jej, by mnie pokochała!... A wówczas skończyłoby się wszystko, prawda! I nie mógłbym już nawet widzieć jej, ani słyszeć, ani posiadać tego nieskończonego szczęścia długiego wpatrywania się w nią, jak w zachwycające zjawisko!

To nieprawda, jakoby ona zrobiła zamach stanu, poślubiając mego kuzyna St. John; to on ma szczęście, którego wcale nie był godny, gdyż nawet książe nie byłby godny posiadania takiego skarbu!...

Ach, nie mów mi o wszystkich innych kobietach! Czymże one są w porównaniu z nią?

Spotkałem tutaj słynną i piękną lady Moore, która była dotąd królową piękności londyńskich; gdybyś widział, jak marnie wygląda przy lady St. John! Lady Moore jest gwiazdą, ale lady St. John jest słońcem!

Patrzyłem na nie wczoraj wieczór w salonie: lady Moore, bardzo elegancka i wspaniała w bogatej i okazałej sukni z błękitnego brokatu, tak odpowiadającego jej jasnym włosom i białej karnacji, stała oparta o fortepian, w taki sposób, by pokazać całą elegancję kształtów i linii swej królewskiej figury.

Lady St. John, w skromnej sukni z białej mory, śpiewała romanse włoskie, akompanjując sobie na fortepianie; nie było w niej na pewno żadnej chęci przypodobania się, nie myślała nawet o tym, że jest podziwiana, pożerana przez tyle oczu, wpatrzonych w nią, ale gdybyś ją widział!... Było w niej wszystko to, co najbardziej słodkiego, wytwornego, najbardziej delikatnego, i kobiecego można sobie wymarzyć! była wcieleniem tego najczystszego ideału kobiety ,jaki powstaje w nas w wieku pierwszej miłości! była tą kobietą wymarzoną, wytęsknioną i wyśnioną, która w białej i subtelnej dłoni przynosi całą poezję życia i łączy w sobie czułość matki z namiętnością kochanki! Ach! na próżno ci ją opisuję! wszystko, co mógłbym ci powiedzieć, jest niczym.

Zamykałem oczy, by nie patrzeć na nią i widziałem ją mimo to poprzez zamknięte powieki i czułem ją w każdym dźwięku jej słodkiej pieśni, która mnie porywa w zaświaty.

Ach! Gdybyś słyszał jej śpiew!...

Wiesz? Ten śpiew był dla mnie poniekąd rewelacją.

Pewnego dnia powiedziała mi, że jest szczęśliwa... czy sądzisz, że gdyby naprawdę była szczęśliwa, byłoby tyle łkań w jej głosie i taka rozpacz niepocieszonej nostalgii?

Cała jej dusza jest w tym śpiewie! Ta namiętna dusza ludzi południa, której my nigdy nie zrozumiemy: wizja innego nieba, pogodniejszego i błękitniejszego, innych mórz, nie pokrytych wcale mgłą, innych okolic i ziem dalekich, stworzonych dla sielanki!...

Widziałem w tym śpiewie całą Italię, mocą wspomnień, jakie mi zostawiła moja niedawna podróż, to był jej głos tych tysięcy kobiet, oglądanych w Wiecznym Mieście, kobiet, wyśnionych przez poetów i marzycieli, kobiet, stworzonych dla miłości i dla sztuki: bo w sztuce mają, jak sfinks, nieprzeniknioną tajemnicę w głębi ciemnych oczu, a w miłości, czarujący uśmiech na świeżych koralowych ustach!

I widziałem je wszystkie w głosie tej jednej: Giocondę i Beatrycze, Laurę i Fornarinę, Lukrecję i Beatryx Cenci, wszystkie piękne, dobre lub straszne. Wszystkie były w tej jednej! W fatalnej istocie, która mnie zrobiła swym niewolnikiem.

Nie zapomnę nigdy tej chwili... Lady Moore stała się dla mnie mniej, niż niczym, formą, czczym kształtem, postacią.

A Herbert, z rogu sali, nie odrywał ani na chwilę spojrzenia od swej żony! Na pewno ubóstwia ją!

Czy są szczęśliwi? Cóżbym dał zato, by wiedzieć prawdę!...

Cóżbym dał zato, by być kochanym, choćby jedną chwilę, przez taką istotę!... Dlaczego nie zrobiłem jej moją, wtedy, gdy może mogłem?

Dzisiaj jest za późno i żal na nic się nie przyda; ale nie będę mógł nigdy jej zapomnieć, nie przestanę nigdy jej uwielbiać!...

Lady Moore zmusza mię tutaj, bym kontynuował adorowanie jej, rozpoczęte ubiegłego lata: wyobraź sobie, jak mi to cięży!

I ona myśli, że zostanie moją żoną!..

Dobrze, że jest tu ten biedny sir Tomasz Blind, który wygląda, jakby chciał zostać mym następcą; ona zdaje się nie chce słyszeć o tym, a on, uważając mnie za rywala, nie oszczędza mi swych humorów, co mi się bardzo nie podoba, gdyż psuje harmonię naszego małego grona! Gdyby on jednak wiedział, z jaką radością odstąpiłbym mu ją!...

Dziś nie poszedłem na polowanie. Nie spałem całą noc i rano wstałem późno; słyszę na dole, w nursery słodki głos mojej ukochanej, jak usypia Baby, Jakże zazdroszczę tym dzieciom, które otrzymują jej pieszczoty i jej pocałunki!...

Żegnaj; nie piszę ci już nic więcej, gdyż inaczej nie skończyłbym nigdy tego listu.

Jeżeli możesz, pociesz słodkei szafirowe oczy, które wpatrują się w morze, oczekując na mnie. Powiedz im, że ja także jestem bardzo nieszczęśliwy, gdyż ja również oczekuję na próżno!

Żegnaj i pamiętaj o swoim oddanym ci

Jerzym.

18 listopad.

Może nie miałam racji tak się niepokoić przyjazdem sir Jerzego. On wydaje się zajęty wyłącznie lady Moore. Właściwie to ona bezczelnie go kokietuje; tak przynajmniej uważa lady Campbell. Powiedziała mi, że spotkała ich wiele razy w alejach parkowych i utrzymuje, że Lionel nie jest wcale zakochany w pięknej wdowie.

To mnie nie dotyczy i nie obchodzi wcale, ale, nie wiem dlaczego, wolałabym, żeby oboje byli bardzo daleko stąd.

20 listopad.

Jest mi bardzo smutno: dziś wieczór właśnie uczuwałam potrzebę takiej cichej i intymnej chwili, spędzonej z mężem i dziećmi. To życie tak lekkomyślne, tak całkiem zewnętrzne, ciężey bardzo mej biednej duszy i męczy mnie. O mój Herbercie! od iluż już dni nie mogę okazać ci całej, nieskończonej tkliwości, jaką mam dla ciebie!

(Ciąg dalszy w następnym numerze.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 5 września 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa 10.45 Orkiestra Marka Webera i Zespół Light Opera Comp. (płyty) 12.03 Muzyka polska — poranek muzyczny 13.10 Koncert rozrywkowy 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Pieśni i tańce ludu wielkopolskiego — koncert 16.40 Ostatnia audycja Konkursu Letniego P.R. 17.00 „Podwieczorek na Targach" 20.40 „U progu nowego roku szkolnego" — przemówienie ministra WR. i OP. prof. W. Świętosławskiego 21.15 „Pożar w ministerstwie" — wesoła audycja 22.00 Jan Brahms: Sonata fortepianowa f-moll op. 5 22.35 Artyści opery „La Scala" (płyty).

Poniedziałek, dnia 6 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Menuety (płyty) 12.25 Edward Elgar (płyty) 12.40 „Od warsztatu do warsztatu: Futro na zimę" 16.00 „Jak wytwarzamy prąd elektryczny" — audycja dla dzieci starszych 16.15 Lekkie piosenki i utwory fortepianowa 16.45 „Jak podróżowali dawni Polacy" — felieton 17.00 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego 17.50 Nowa epoka w łowiectwie — pogadanka 18.15 Obce piosenki w wyk. polskich śpiewaków (płyty) 19.00 Miniatury kwartetowe — koncert z Krakowa 20.00 Koncert rozrywkowy z Poznania 21.45 „Pan Tadeusz" — A. Mickiewicza wybrany fragment 22.00 Pieśni Tatarów wileńskich (z Wilna) 22.20 Pieśni Haydna, Schuberta i Schumanna w wykonaniu Anieli Szlemińskiej.

Wtorek, dnia 7 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Giacomo Puccini: Fragmenty z op.: „Madame Butterfly" 12.25 Mała Orkiestra Polskiego Radia 16.00 „Podwieczorek pod lipą" — aud. dla dzieci starszych 16.20 Lekki koncert kameralny 17.00 Koncert Ork. Filharmonii Warszawskiej z Ciechocinka 18.15 W dniu Święta Brazylii 19.00 „Willa do wynajęcia" — Szecz 20.00 „Cyganeria" — opera w 4 aktach G. Pucciniego — Transmisja z Teatru Wielkiego we Lwowie 21.45 „Pan Tadeusz" A. Mickiewicza (wybrany fragment).

Środa, dnia 8 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Piotr Czajkowski: fragment z baletu „Jezioro łabędzie" 12.25 Koncert rozrywkowy w wyk. ork. Kwartetu Rozgł. Krakowskiej 16.00 „Wrzesień" — pogadanka dla dzieci 16.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Ork. Filharmonii Warszawskiej z Ciechocinka 16.45 Sprawa kobieca na forum Ligi Narodów odczyt 17.00 „Śpiewające eksponaty" — lekki koncert 18.15 Słynni dyrygenci w repertuarze walców Straussa 19.00 „Wesele Elżuni" — w Teatrze Wyobraźni 20.00 Koncert solistów 21.05 Muzyka taneczna w wyk. ork. T. Seredyńskiego 21.45 „Pan Tadeusz" — A. Mickiewicza ((wybrany fragment) 22.00 Wieczorny koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej P.R.

Czwartek, dnia 9 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Dwaj wirtuozi altówki ((płyty) 12.25 Muzyka salonowa w wyk. Kwartetu Rozgł. Krakowskiej 16.00 „Wrzesień" — pogadanka dla dzieci 16.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Ork. Filharmonii Warszawskiej z Ciechocinka 16.45 Sprawa Kobieca na forum Ligi Narodów — odczyt 17.00 „Śpiewające eksponaty" — lekki koncert 18.15 Słynni dyrygenci w repertuarze walców Straussa 19.00 „Wesele Elżuni" — w Teatrze Wyobraźni 20.00 Koncert solistów 21.05 Muzyka taneczna w wyk. ork. T. Seredyńskiego 21.45 „Pan Tadeusz" — A. Mickiewicza (wybrany fragment) 22.00 Wieczorny koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej P.R.

Piątek, dnia 10 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Ludwik van Beethoven: Sonata Es-Dur op. 81 (z płyt) 12.25 Orkiestra Wojskowa (z Wilna) 16.15 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego (z Nałęczowa) 16.45 „Z pustyni — ziemia obiecana" — reportaż 17.00 „Najpiękniejsze melodie operetkowe" — koncert z Targów Wschodnich we Lwowie 18.15 Pogadanka konkursowa 18.20 Orkiestra Alfreda Ampoli'ego i duety fortepianowe 19.00 Symfonie Beethovena — 9 audycja (płyty) 20.20 Muzyka lekka w wyk. Małej Orkiestry P.R. 21.00 Muzyka taneczna 21.45 „Pan Tadeusz" A. Mickiewicza (wybrany fragment) 22.00 Koncert solistów.

Sobota, dnia 11 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Utwory Fryderyka Deliusa z płyt 12.25 Orkiestra rozrywkowa 16.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci młodszych 16.30 „Pożegnanie lata" — korowód z pieśnią i muzyką po ulicach Warszawy 19.15 Koncert Ork. Filharmonii Warszawskiej z Ciechocinka 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.05 Las gra — ballady i pieśni Schumanna i Schuberta 22.00 Tańce słowiańskie w wyk. ork. A. Hermana (z Krakowa).

HUMOR

PRZYGODA

— Zbudziwszy się wczoraj w nocy, spostrzegłem, że jakaś postać przeszukuje kieszenie mego ubrania. Chwyciłem rewolwer, ale nie strzelałem.

— Dlaczego?!

— Nie chciałem zostać wdowcem.

OŚWIADCZYNY

— Mam tylko tysiąc złotych dochodu, ale sądzę, że będę mógł odpowiednio żonę moją utrzymać.

— Tysiąc złotych? — przerywa teść w uniesieniu — panie drogi, to starczy dla nas wszystkich.

CZYSTOŚĆ TO ZDROWIE

— Panie ober — woła z oburzeniem gość w restauracji. — Ten nóż jest zupełnie brudny.

— To dziwne. Przed chwilą krajałem nim mydło.

SAMOPOMOC UCZNIOWSKA

Do jegomościa obsługującego stację benzynową podbiega jakiś mały chłopczyk.

— Proszę pana, może mi pan da kilka litrów benzyny?

— Na co ci to, mały?

— Nasza szkoła się pali.

GEOGRAFIA

— Więc ty emigrujesz na stałe z mężem do Nowej Zelandii? Bój się Boga! Ponoć w tym kraju jest noc, kiedy u nas jest dzień.

— Trudno! Początkowo będzie mi ciężko ale sądzę, że się do tego przyzwyczaję...

OSTROŻNY

Pan Hipolit siedzi w restauracji i widzi jak kelner powoli posuwa się naprzód, trzymając w obydwu rękach talerz z befsztykiem.

— Co pan tak ostrożnie niesie ten befsztyk? — pyta zaintrygowany.

— A, bo mi już bestia dwa razy upadł na ziemię.

ZAGADKA POKREWIEŃSTWA

— Ilu pan ma braci, panie Kokoszka?

— Jednego tylko, panie profesorze.

— Ciekawe jak można tak się omylić, a pańska siostra mówiła mi, że ma dwóch braci....

ŚLISKA DROGA

Antoś Bidulski zajmuje się uliczną sprzedażą towarów, ale powodzi mu się źle.

— Spróbuj sprzedawać zapałki — radzi mu kolega — więcej na tym zarobisz...

— Boję się — odpowiada Bidulski — Kreuger też handlował zapałkami...

SZCZĘŚLIWA NARZECZONA

— No, jakże tam było na twoich zaręczynach, Halinko?

— Jak zawsze.

ZŁOŚLIWA

— Jak ci się podoba moja fotografia?

— Doskonałe zdjęcie! Tak powinnaś wyglądać w rzeczywistości.

SZTUKA

Towarzystwo ubezpieczeń uchwaliło zapłacić 50 zł za zniszczone podczas pożaru płótno.

— Ależ panie, 50 złotych? Na tym płótnie namalowany był mój obraz.

— W takim razie wypłacimy panu tylko 25 zł za zużytkowane płótno.

PANIEŃKA, wysoka, przystojna, lat 26, sierota, posiada majątku 2000 zł i umeblowanie — pozna pana, najchętniej urzędnika. Cel matrymonialny. Oferty z fotografią kierować do Działu Ogłoszeń „M. Powieści" pod „Szczęście".

100 % skuteczność, nawet przy chorobach zastarzałych, osiągają ast oaspektywne zioła stosowane tylko indywidualnie. Opisać szczegółowo choroby i podać datę urodzenia. Na odpowiedź znaczek. Herbowita, Poznań, Piotra Wawrzyniaka 27.



„Przepraszam — czy mam Panu wrzucić szmatę do worka, czy też chce Pan ją nażgnąć".

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1